

Pisalnik

MAGAZYN KREATYWNEGO PISANIA
NR 8

zbiór tekstów uczestniczek „Pisalni” Akademii Kreatywnego Pisania
i kursu Odblokuj się i pisz



Pisalnik

MAGAZYN KREATYWNEGO PISANIA
NR 8

zbiór tekstów uczestniczek „Pisalni” Akademii Kreatywnego Pisania
i kursu Odblokuj się i pisz

Oddaję w Twoje ręce ósmy numer "Pisalnika" ze zbiorem wyjątkowych tekstów uczestniczek Akademii Kreatywnego Pisania i kursu Odblokuj się i pisz. W tym numerze przeczytasz teksty, które powstały w okresie od maja do sierpnia 2025 r.

Autorki:

1. Olga Stiefel-Brzezińska
2. Julia Roguszczyk
3. Agnieszka Ładocha
4. Ewa Podgórna-Kopciuch
5. Marta Kubiak
6. Beata Banaszczyk
7. Patrycja Wołkowska
8. Wiesia Paszek
9. Katarzyna Frelik
10. Karolina Sawka
11. Kamila Kamińska
12. Aleksandra Konstanciuk
13. Anna Krasieńska
14. Monika Wereszczuk
15. Agata Schubert
16. Sonia Zając
17. Luiza Maszewska
18. Martyna Głownia
19. Sylwia Dec
20. Grażyna Garbarek

Ilustrację na okładkę Pisalnika stworzyła Aga Hałas.

Składem i oprawą graficzną zajęła się Aga Hałas.

Jeśli jesteś zainteresowana udziałem w kursach pisania, zapraszam Cię po więcej informacji na moją stronę aleksandramakulska.pl

Miłej Lektury!

Aleks ♥

Spis treści

| | |
|--|----|
| „Afera czy niespodzianka?” Olga Stiefel-Brzezińska | 5 |
| „Syrop z cebuli” Julia Roguszczak..... | 8 |
| „Obietnica z dzieciństwa” Agnieszka Ładocha..... | 11 |
| „Śniadanie” Ewa Podgórna-Kopciuch..... | 13 |
| „Matylda i brzoskwińowa sukienka” Marta Kubiak | 16 |
| „Ken” Beata Banaszczyk | 18 |
| „Rodzina” Patrycja Wołkowska | 21 |
| „Samo zło” Wiesia Paszek | 23 |
| „Emocje przy stole” Katarzyna Frelik..... | 25 |
| „Kosa” Karolina Sawka | 27 |
| „Ocalić od zapomnienia” Kamila Kamińska | 29 |
| „Dzikie gęsi” Aleksandra Konstanciuk..... | 31 |
| „Gdyby” Anna Krasińska | 33 |
| „Czysta Przyjemność” Monika Wereszczuk..... | 35 |
| „Gdybym była tobą...” Agata Schubert..... | 38 |
| „Najlepsza Przyjaciółka” Sonia Zając..... | 39 |
| „Stefan” Luiza Maszewska..... | 41 |
| „*PINK*” Martyna Głownia..... | 43 |
| „Matka Boska naturalnych rozmiarów” Sylwia Dec | 46 |
| „Dzień, który zmienił wszystko – opowieść Johnego” Grażyna Garbarek...51 | |

OLGA STIEFEL-BRZEZIŃSKA

Afera czy niespodzianka?

W przedpokoju rozległ się dziwny łomot, jakby coś spadało. Właściwie to więcej niż jeden coś. Grzegorz Pochwalnicki podniósł się z kuchennego taboretu i wyrzął przez uchylone drzwi.

– Wujku, wszystko w porządku? Pomóc ci? – Przyjrzał się uważnie martwej naturze na środku korytarza. Składała się ona z jego wujka Wiecha, zastygłego w dziwnej pozycji, oraz ze stosu kartonów, gotowych do wysłania, rozrzuconych w nieładzie dookoła Wiecha. Głos bratanka wyrwał starszego krasnoluda z bezruchu.

– Nie, nie, tak mi to tylko z rąk wypadło. Już zbieram i idę wystać. – Wiesław otrząsnął się i zaczął układać paczki jedna na drugiej.

– A co ty właściwie wysyłasz?

– Nic takiego. – Wiechu wyraźnie się spieszył. – Sprzedałem ciuchy, w których już nie chodzę.

– Mogłeś mi wcześniej pokazać, to może bym coś sobie wybrał.

– Nieee, to w ogóle nie były rzeczy w twoim stylu.

– No dobra, ale jakby ten sweter ci się znudził – młodszy pokazał na wełniany sweter z wymyślnymi warkoczami, w który ubrany był starszy – to jednak bym chciał. No chyba, że powiesz, gdzie go kupiłeś.

– To? A to starość jakiś. Z dna szafy wygrzebany. Otwórz mi drzwi proszę.

Po chwili Grzegorz słyszał już tylko kroki wujka pośpiesznie zbiegającego po schodach. Zamknął drzwi, dopił kawę i zaczął się szykować na randkę. Akurat kilka dni się nie widział ze swoim partnerem, elfem Cymkiem, więc dziwne zachowanie wujka szybko wypadło mu z głowy.

Po kinie i kolacji postanowili się jeszcze przejść, zanim pójdą do domu. Grzegorz liczył na miły wieczór w mieszkaniu Cymka, bo mimo że Wiesław był niekłopotliwym współlokatorem to jednak był. Niestety jego plan spalił na panewce, gdy elf skierował ku niemu poważne spojrzenie.

– Grzesiu, możemy iść dzisiaj do was?

– Aaa, ale czemu? – Krasnolud przez chwilę nie umiał wrócić do rzeczywistości, zajęty planowaniem, co w którym pokoju będą robić.

– Bo u mnie w bloku, piętro wyżej jest wielka impreza. To nie będziemy mieli spokoju.

– Taaa, zwłaszcza jak złączą wycę po wschodzie księżycy – Grzesiu pokiwał głową, bo już przerabiali imprezę wilkołackich sąsiadów. – W sumie może nawet dobrze się składa. Może ty się zorientujesz, co się dzieje z Wiechem.

– A co ma się dziać?

– No mega dziwnie się zachowuje. Ciągłe zamyka się w pokoju i poza posiłkami praktycznie z niego nie wychodzi. Co chwila przychodzą do niego podejrzone paczki – duże, ale lekkie. A jak nie przychodzą, to on sam coś wysyła. Ja już nie wiem, czy on się w coś nie wpakował.

Gdy podeszli pod dom, Grzegorz podniósł głowę, żeby spojrzeć w okna mieszkania i zdębiał.

– Czy ty widzisz to, co ja?

– Tak, ale nie jestem pewien, co widzę.

W dużym pokoju niby było ciemno, ale gdzieś w głębi paliły się jakieś kolorowe światełka. Nie oświetlały pokoju, ale widać był zarys sylwetki Wiesława, który jakby balansował na drabinie wkręcając żarówkę. Tylko, że w tym pokoju wisząca lampa była w innym miejscu. Gdy tak się przyglądali z dołu, starszy krasnolud nagle zniknął z pola widzenia. Bez słowa Grzegorz i Cymek ruszyli biegiem do mieszkania. Nie tracąc czasu na zdejmowanie butów i kurtek, wpadli do dużego pokoju, gdzie tym razem oni zamarli.

W rogu pomieszczenia była rozstawiona spora choinka, ozdobiona bombkami i kolorowymi światełkami. Na stole leżały pomarańcze nabite goździkami, a z kuchni dołatywał zapach suszonych cytrusów. Choinka była prawie idealna. Prawie, bo zamiast czubka miała wiszącego krasnoluda, który kurczowo trzymał się gałęzi. Cymek prychnął śmiechem i zdjął tę nietypową ozdobę ze świątecznego drzewka.

– Wujku, co to ma być? – Grzegorz wbił wzrok w twarz Wiesława.

– Chciałem ci niespodziankę zrobić i świąteczną atmosferę. Ale drabina się wywaliła.

– Ja się pytam o to! – Młodszy krasnolud oskarżycielsko wystawił palec w stronę twarzy starszego. – Od kiedy ty okulary nosisz?

– Aaaa, o to ci chodzi – Wiesław zdjął pochlapane okulary i przetarł je koszulką. – Od niedawna. Starość mnie dopadła i do czytania potrzebuję.

– I dlatego się przede mną chowałeś wieczorami? – Spytał bratanek z niedowierzaniem.

– Nooo...

Grzesiu pacnął się dłońmi w twarz i opadł na fotel. A potem jeszcze szybciej się z niego poderwał, jedną ręką podnosząc szydełko, a drugą pocierając obolały pośladek. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Cymek, który przyglądał się drabinie, wyprostował się i pokazał kłębek ciemnozielonej włóczki.

– To chyba do kompletu? Wiechu, ty do robótkowania też potrzebujesz wzmocnienia obrazu, co? – Zaśmiał się.

Wiesław zaczerwieniony pokiwał głową.

– I widzisz, Skarbie – elf odwrócił się do partnera – zagadka rozwiązana. Bo Grześ się martwił, że się w coś wpackowałeś.

– Ale co jest rozwiązane? O co chodzi? – Grzegorz zdezorientowany kręcił głową, patrząc to na jednego, to na drugiego.

– No, twój wujek wkręcił się w robótki. Te przychodzące paczki to pewnie była włóczka. A wysyłał to, co zrobił?

– Serio? – Grzesiu ciągle z niedowierzaniem patrzył na wujka, a ten tylko potwierdzająco kiwał głową. – Ale czemu nic nie powiedziałeś?

– Bo najpierw nie wiedziałem, czy coś mi w ogóle z tego wyjdzie. Jak całymi wieczorami siedziałeś u Cymka, to mi się nudziło. Nagle przypomniało mi się, że kiedyś lubiłem robić na drutach i szydełku. To zamówiłem rzeczy na próbę. I tak się wciągnąłem. Potem zacząłem wrzucać zdjęcia na insta i tak jakoś wszyscy chcieli kupić. No to zacząłem sprzedawać. I tak poszło.

– A ten sweter, co miałeś rano?

– No ten też sam zrobiłem. Oj nie patrz tak na mnie. Dla was też zrobiłem. Tylko to miały być prezenty niespodzianki na Gwiazdkę.

– To teraz będziesz musiał wymyślić coś innego! – Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

JULIA ROGUSZCZAK

Syrop z cebuli

Tym razem wręcz się ucieszyłam, kiedy mama zapowiedziała się na sobotę. Haneczka ostatnio chorowała i naprawdę dała mi popalić. To, że nie śpię od prawie dwóch lat wydaje się zupełnie zrozumiałe, ale mój obecny stan zmęczenia to jakiś hardkor. Za każdym razem, kiedy już mi się wydaje, że Hania zasnęła, po dwudziestu sekundach wyrывa ją ze snu obrzydliwy kaszel, duszący i chrapliwy. Trudno uwierzyć, że małe dziecko może tak kaszleć. Może to i dobrze, że tym razem mama zadzwoniła pierwsza. Że zechciała pomóc. Pomijając wszystko co było, my wciąż jesteśmy.

Nie wiem, czy byłabyś w stanie sobie wyobrazić, jak łatwo nasza mama staje się babcią. Taką wiesz, babcią przez duże B. I nie chodzi mi o to, że wpada zawsze z prezentem dla Hanki, ani o to, że przywozi jeszcze ciepły domowy obiad. Ona po prostu nagle promienieje. Jakby od progu przechodziła do portalu 'Babcia'. Jakby ktoś wcisnął pstryczek. Wpadają sobie z Hanką w objęcia i przepadają w świecie, do którego ja nie mam dostępu.

W tę sobotę przywiozła przygotowany specjalnie dla Hanki syrop z cebuli. Od samego wejścia zaczęła agitowanie: „Babcia przywiozła syropek”, „Cebulki ci tu pokroiłam”, „Miodku dodałam, jak dla Kubusia Puchatka”. Nadskakiwała jak nie ona. Hanka oczywiście wpatrzona w nią jak w obrazek. „To może od razu spróbujemy, co?” Widziałam to moje dziecię ufne, rozanielone. Powieka nawet jej nie drgnęła, kiedy poszły do kuchni po łyżkę. Jak dobrze pamiętam, kiedy nam babcia wciskała syrop z cebuli, mama zamykała temat słowami „masz to wypić i koniec”. Aż mnie cofka bierze. W napięciu czekałam, jak tym razem rozkręci się sytuacja. Hanka otworzyła buzię bez sprzeciwu, ale zrobiła ten sam numer co zwykle gdy próbuje nowych rzeczy. Nim samolocik wleciał do hangaru, brama się zamknęła. Ledwo zdążyła dotknąć językiem kropli syropu, resztę wytrąciła mamie na bluzkę. Minę miała przy tym jak Ty, kiedy babcia serwowała nam brukselki. W tej sekundzie spięłam ramiona i brzuch, zacisnęłam powieki spodziewając się „niewdzięcznicy” lub „rozpuszczonego bachora”. Zamiast tego usłyszałam, że „nic się stało, wiem że ten syropek jest mało smaczny”. Poczulałam ukłucie w brzuchu. Pałące uczucie gniewu. Rozumiesz ten paradoks? Byłam wkurzona, że mnie matka pozytywnie zaskoczyła.

Nie taki był tu scenariusz przewidziany. Przez sekundę miałam ochotę zareagować, coś jej przypomnieć. Byłam jednak zbyt zmęczona, by uformować myśli.

Chwilę potem Hanka zaprowadziła swoją babcie do przymierzalni. Jakbyś się zastanawiała, czym jest przymierzalnia – młoda wywała wszystkie czapki z szuflady i po kolei je przymierza. Babcia zachwala każdą stylizację, robi zdjęcia, a potem razem oglądają. Widziałam, że mama ukradkiem zabiera syrop ze sobą. Cierpliwości chyba też jej przybyło razem z wiekiem. Skorzystałam z chwili i poszłam do łazienki się ogarnąć. Z zamkniętych drzwi usłyszałam krztuszenie się Hanki i charakterystyczny dźwięk jej torsji. Poczułam dreszcze w całym ciele. Ten dźwięk doprowadza mnie do płaczu. Mama znów próbowała z syropem. Mogłaby odpuścić. Byłam gotowa na jej wybuch, ale spodziewałam się wybuchu śmiechu. Wyobrażasz to sobie? Jak sobie przypominam, gdy obrzygałam mamie sweter, zarobiłam klapsa. Wyszłam z łazienki z niepewną miną, bo obie zaśmiewały się do rozpuku. Mama z łzami w oczach podała mi jedną z czapek i rozbawiona powiedziała „namocz ją, bo Hanka wypluła do środka syrop”. Zaciśnęłam zęby i zabrałam czapkę.

Wyszliśmy na krótki spacer, a po powrocie zabrałam się za szykowanie obiadu. Słyszałam z kuchni, jak dziewczyny o czymś zawzięcie dyskutują, ale nie rozumiałam przyciszonych głosów. To znaczy nie rozumiałam, co babcia tłumaczy wnuczce. Mała, póki co, komunikuje się językiem znanym tylko sobie. Poszłam więc zerknąć zza rogu. To co zobaczyłam, wprawiło mnie w zachwyt i jednocześnie złamało mi serce. Nasza mama, rodzicielka, trzymała moje dziecko w ramionach i przesuwając się powoli wzdłuż ściany w salonie, wskazywała palcem na zdjęcia w ramach i tłumaczyła, kto jest kim. „Tu twoja mamusia jak była mała. Tu ciocia, a tu babcia z dziadkiem”. Hanka wyciągnęła mały paluszek i powtarzała coś po swojemu. Dotarło do mnie, że mama opowiada o Tobie. Że kiedy byłaś mała, nie cierpiałaś syropu z cebuli, ale piłaś go, bo byłaś bardzo dzielną dziewczynką i chciałaś szybko wrócić do zdrowia. Zapytała Hankę czy będzie dzielną dziewczynką jak ciocia, a ona pokiwała głową przytakująco, zabawnie jak tylko ona potrafi. Podeszły do stołu i najzwyczajniej w świecie babcia podała wnuczce łyżkę syropu. Hania się skrzywiła, zmarszczyła nosek, ale przełknęła i z wciąż jeszcze zde gustowaną miną poklepała się po brzuszku. Babcia ją przytuliła i pocałowała w czubek głowy.

Nie mogłam rozpoznać naszej mamy w tej ciepłej kobiecie, która czule głaskała dziecko. Która cierpliwie mu tłumaczyła, dlaczego powinno wypić to paskudne lekarstwo. Patrzyłam na nią, jak na obcą kobietę. Serce rwało się do niej i jednocześnie chciałam, by zniknęła. Jakbym nie mogła znieść, że tej miłości do wnuczki jest tak wiele, podczas gdy tej dla własnych dzieci wciąż było za mało. Jak gdyby to w istocie babci dopiero zawarła się cała dobroć. Wróciło znów klucie w brzuchu. Zawsze mówiłaś, że serce ma nieskończoną pojemność dla miłości. A ja poczułam jakby w całej tej przestrzeni hulał wiatr.

I muszę trzymać to lodowate uczucie w sobie, schować je głęboko między żebra, bo przecież zawsze marzyłam, by kobiety w naszej rodzinie łączyła wyjątkowa więź.

W tych mikro chwilach mam przebłysk, prawie nieuchwytny, że rozumiem Twój ból i rozumiem, dlaczego odeszłaś.

Kochana, tęsknię za Tobą straszliwie.

Twoja Siostra

AGNIESZKA ŁADOCHA

Obietnica z dzieciństwa

Czerwono—pomarańczowe ognisko huczało jak stado dzięciołów wykuwających dzięsiatki gniazd w drzewach. Jęzory ognia smagały końcówki gałęzi w wysokich koronach dębów i sosen. Magia nie pozwalała spalić drzew. Zaczarowany ogień głąskał gałęzie, ale ich nie pochłaniał. Wokół paleniska zebrały się wszystkie dzieci z osady, a także przyjezdne. Kończył się tydzień obchodów Równonocy Wiosennej i zgodnie z tradycją czekała na nas opowieść najstarszego mieszkańca osady.

Drżałam, mimo gorąca buchającego od gigantycznego ogniska. Nigdy nie mówiłam o tym nikomu, ale bałam się opowieści snutych przez Toposa. Bałam się nie tego, o czym opowiadał, ale własnych odczuć, które we mnie wywoływały. Dopiero wiele lat później zrozumiałam, że przemawiała przeze mnie intuicja. Dopiero później dowiedziałam się, jak bardzo potrafię wczuć się w sytuację innych. Z czasem odkryłam, że przejmuję emocje innych.

Słuchałam tamtych opowieści jako dziecko, pozbawione wiedzy o własnych umiejętnościach. Zamknięte w konwenansach, nierozumiane przez innych.

A może nie byłam aż tak niezwykła jak mi się teraz wydaje. Może po prostu bałam się bardziej niż inni, bo byłam strachliwa i tylko po latach usiłuję wytłumaczyć siebie.

Siedziałam na pniu po ściętym dębie. Był szeroki, a dla mojej wygody mama ułożyła na nim szarozielony koc, złożony kilka razy. Byłam też ciepło ubrana, a jakbym marzła, to w worku zapobiegliwa rodzicielka spakowała mi dodatkowy koc. Obok, na ziemi siedziała moja ulubiona koleżanka. Sara miała rok mniej niż ja i we wszystkim mnie naśladowała. Podobnie jak ja nie miała rodzeństwa i czasami udawałyśmy, że jesteśmy siostrami. Tak było różnie. Jej mama długo wieczorami czesała jej długie, gęste, orzechowe włosy. Zazdrościłam Sarze tej pięknej fryzury. Sama miałam cienkie włosy w kolorze dojrzałej wiśni, które zwykle mama ścinała na krótko. Mówiła, że ta długość mi lepiej pasuje. Kiwałam głową i ukrywałam smutek, bo tak naprawdę pragnęłam wiązać włosy w kucyk albo zaplatać je w warkocz. Tak jak robiły to inne dziewczynki.

Kolejny dreszcz mnie otrzeźwił. Wróciłam do sondowania otoczenia. Przyglądałam się twarzom nieznajomych dzieci z innych części puszczy. Rozpoznawałam miejscowych i rejestrowałam drobne zmiany.

W cieniu, za ogniskiem siedział znajomy obcy. Chłopak, który zjawił się w naszej osadzie ze swoją rodziną zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Nie znałam go jeszcze. Chyba nikt go nie znał. Próbowałam przyglądać mu się przez płomienie. Nieraz widywałam go na ścieżkach wśród domostw. Nieraz obserwowałam, jak przygląda się różnym roślinom w lesie. Był bardzo szczupły, nawet wychudzony i jednocześnie długi jak sosna. Wyglądał jakby został rozciągnięty z normalnego dziecka. Ciemne, poskręcane jak sprężyny włosy opadały mu do szarych zimnych oczu.

W głębi serca wiedziałam, choć do dziś nie wiem, skąd, że te lodowate tęczówki mogą zamrażać. Bałam się nieznajomego, ale jednocześnie ciągle zerkałam w jego kierunku.

Kilka miesięcy później odważyłam się z nim przywitać. Spojrzał na mnie ołowianym spojrzeniem, ciężkim i niechętnym. Na moje radosne „Cześć” wymruczał niezrozumiałą odpowiedź. Odepchnął mnie, zanim zdołałam się zbliżyć.

Po tamtej sytuacji starałam się trzymać od niego z daleka. Był starszy, więc nie pojawiał się często w naszej szkółce prowadzonej przez Atagę. Poza tym miałam w swojej grupie koleżanki, z którymi mogłam się przyjaźnić. Postanowiłam, że chłopiec o stalowych tęczówkach nigdy nie zostanie moim przyjacielem. Niech sobie żyje sam w swoim odizolowanym świecie. Niech trwa w samotności. Nie będę go na siłę uszczęśliwiał.

Głośne chrapnięcie wyrwało mnie ze snu. Obróciłam się na łóżku i spojrzałam na posiwiatę kędziory mojego towarzysza. W słabym świetle wschodzącego słońca błyszczą niczym srebrna obrączka na palcu serdecznym. Wstuchiwałam się w wydychane ze świstem powietrze i myślałam o tym, jak wiele lat temu się pomyliłam. Przywołane we śnie wspomnienie uświadomiło mi jak gruby pancerz zbudował wokół siebie Epir. Przypomniało mi się jak długo musiałam rozbierać go ze skorupy zbudowanej z cierpienia, bólu i rozpacz.

Przypomniałam sobie, ile ciepła odkryłam za zimną stałą jego wzroku. Dobrze, że nie spełniłam tej głupiej obietnicy, którą sobie niegdyś złożyłam. Bo mogę zaryzykować stwierdzenie, że straciłabym wszystko, gdybym nie pozwoliła Epirowi się do siebie zbliżyć. I choć trwało to lata. I choć nie było to łatwe ani przez chwilę. To było warto. Bo, pod zbroją która i tak nie zmniejszała siły uderzeń skrywała się bratnia dusza.

EWA PODGÓRNA-KOPCIUCH

Śniadanie

– Tony wstawaj.

– Nie, daj spokój. Przecież nie musimy się dziś nigdzie śpieszyć. Jest niedziela.

– Ale jest już późno. Chcesz cały dzień spędzić w łóżku?

– A czemu nie? Dla odmiany chętnie poleniuchuję. Skoro już jestem w domu to mogę się poobijać.

– Właśnie, dobre spostrzeżenie – skoro już jestem w domu.

– Beth, o co ci chodzi? Znowu chcesz doprowadzić do kłótni?

– Ja? Przecież nic nie mówię.

– A ta uwaga o...

– Przestań. Nie chcę żadnych awantur. Spędźmy ten dzień jak normalne małżeństwo.

– Ok. No chodź tu do mnie. Może jeszcze trochę pobaraszkuje?

– Daj spokój. Mało ci było w nocy?

– Dobra, dobra. Nie będę nalegał.

– Chodź, zrobimy wspólnie śniadanie.

– Ej, a nie możesz sama? Ja jednak bym jeszcze poleżał.

Beth wyszła do kuchni nie odwracając się już w stronę męża. Usłyszała, że gdy tylko opuściła sypialnię, on włączył na cały regulator telewizor. Odpaliła ekspres do kawy. Stawiając filiżanki zobaczyła jak trzęsą się jej ręce.

Przez cały wczorajszy dzień, noc i dzisiejszy ranek pohamowywała się, aby nie płakać. Ciągłe przed oczami wracała jej scena sprzed trzech dni. Tom obejmujący i całujący się z Agnes. Jej najlepszą przyjaciółką. Miał być wtedy w innym mieście bo wyjechał na delegację z pracy. Pamięta jeszcze jak ubolewał, że niestety nie pójdzie z nią do teatru. A tak się cieszyła, że udało jej się zdobyć bilety na premierę nowej sztuki. Poszła sama, bo Agnes także była zajęta. Teraz już wiedziała czym. Czy to był pech czy jednak szczęście, że przytapała ich na schadzce. Nie powinno jej być w tamtym miejscu, ale pomyliła autobusy. Gdy zorientowała się, że jedzie w złą stronę, wysiadła na pierwszym przystanku. I wtedy ich zobaczyła. Wychodzili z jakiegoś hotelu. Nie wiedziała co ma zrobić.

W pierwszej chwili chciała do nich podbiec i rzucić się na nich z pięściami. Ale po chwili tylko odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

W domu naląła sobie szklanekę whisky i wypła ją jednym haustem. Zakrztusiła się i zakaszłała nie przyzwyczajona do alkoholu. Usiadła przy stole w kuchni i zaczęła myśleć. Po policzkach toczyły się łzy. Im było ich więcej tym spokojniej biło jej serce. Przed oczami stawały jej wszystkie sceny z Tonym w roli głównej. Gdy wracał w nocy z pracy. Gdy wychodził nawet w weekendy, bo był niezastąpiony. A ona naiwnie wierzyła, że jej mąż jest taki wspaniały, że nie mogą się bez niego obejść. Tylko czemu nadal przynosił taką nędzną wypłatę? O to nigdy nie spytała. Ciekawe czy przez te wszystkie lata był z Agnes czy też były inne. Choć to nieważne.

W ten weekend wyjątkowo był w domu. No tak, Agnes pojechała do rodziców na urodziny ojca.

Tony był przykładnym małżonkiem. Całą sobotę pomagał w domu. Adorował żonę, a w nocy ich seks był wspaniały. Musiała to przyznać. Na początku nie chciała iść z nim do łóżka. Ale potem uległa. Zawsze lubiła się z nim kochać. Starala się nie myśleć o innych kobietach, o Agnes w jego ramionach. Doprowadził ją do ekstazy i nawet przez chwilę zapomniała.

Ale gdy po wszystkim zwałił się na łóżko i zaraz zaczął chrapać, cała trauma wróciła. Patrzyła z niesmakiem na jego przystojną twarz. Na rozchylone usta, rozłożone na poduszce przydługie włosy. Uciekła do łazienki i tam długo wymiotowała. Czuła obrzydzenie do siebie, że pozwoliła się dotknąć. Weszła pod prysznic i puściła tak gorącą wodę, że prawie się poparzyła. Resztę nocy spędziła zwinęta w fotelu. Nie spała. Planowała. Nie wiedziała skąd w niej nagle wyrosła ta siła, która chciała ukarać jej męża. Do głowy przychodziły jej coraz bardziej szalone pomysły. Ale nad ranem wiedziała co ma robić.

I teraz nalewała kawę do filiżanek. Zrobiła tosty, ugotowała jajka. Nakryła stół. Dżem morelowy – ulubiony Tony'ego. Wyciągnęła nawet te niebieskie serwetki zrobione na szydełku przez jego mamę.

Przeszła do łazienki. Ubrała się, uczesała, lekko podmalowała.

– Tony chodź. Śniadanie na stole.

– A nie zjemy w łóżku?

– Nie. Ja jestem już ubrana. Wstawaj.

– Ale jesteś nudziara. Idę.

Przyszedł w samych gatkach, drapiąc się po brzuchu. Już nie był taki szczupły jak dawniej. Załazek brzuszka pojawił się nad gumką majtek. Włosy też już mu się przerzedziły. Beth popatrzyła na niego i nie rozumiała czemu jest z tym facetem.

– Co dobrego zrobiłaś?

– Jest kawa, tosty, twój dżem. I jajka na twardo tak jak lubisz.

– Ok. Ale jestem głodny. Wykończyłaś mnie kobieto w nocy. – Zarechotał, wpychając sobie do ust jajko. Beth nie jadła tylko patrzyła na męża.

– No co? Czemu nie jesz? Coś się stało? Masz minę jakby był koniec świata.

– Opowiedz mi jak było w Chicago?

– Co? Co ci się przypomniało? Teraz mam ci opowiedzieć?

– Tak, co w tym dziwnego. Siedzimy przy śniadaniu i rozmawiamy. Jestem ciekawa co robiłeś w Chicago.

– O rany, Beth. Nigdy o to nie pytałaś. No jak miało być. Normalnie, dużo pracy. Nawet nie było kiedy wyskoczyć na miasto.

– Acha.

– Co acha?

– Nic.

– Nie rozumiem do czego zmierzasz. – Tony zaczął się wkurzać. Posmarował tost grubo dżemem i zaczął łapczywie jeść. Nalał sobie z dzbanka kawy i wypił duży łyk.

– Czemu się tak boczysz? Przecież wczoraj tak miło spędziliśmy dzień. Beth nie odezwała się. Wstała i dołała mężowi jeszcze kawy. Ten z uśmiechem klepnął ją w tyłek.

– No bądź grzeczną dziewczynką. Jak się posilę to pokażę ci jeszcze parę fikołków. Nasmarował kolejnego tosta dżemem. Ugryzł dużego kęsa. Nagle jego oczy rozszerzyły się. Złapał się rękami za gardło. Wydał z siebie charczący dźwięk. Wstał gwałtownie z krzesła i chwycił się krawędzi stołu.

– Zrób coś – zaskrzeczał.

Beth patrzyła ze spokojem.

– Już nic nie można zrobić.

Tony zwałił się ciężko na podłogę. Na ustach pojawiła się biała piana. Jego ciałem wstrząsnęły drgawki. Po chwili leżał już spokojnie. Beth popatrzyła na stół. Nadgryziony tost, miseczka z dżemem, filiżanka z kawą, która rozlała się gdy Tony chwycił się stołu. Skorupki od jajka. No ogólnie bałagan.

– Najpierw posprzątam stół – pomyślała Beth – a potem zajmę się tym – spojrzała na zwłoki męża i poczuła spokój.

MARTA KUBIAK

Matylda i brzoskwiniowa sukienka

Matylda założyła przewiewną, letnią sukienkę w odcieniu dojrzałej brzoskwini. Taką, co tańczy z każdym postawionym krokiem i ledwo dotyka skóry. Pierwszy dzień lata. Już było duszno. Matylda zaszalała. Nie założyła rajstop. Powietrze łaskotało jej uda. A ona, po raz pierwszy od bardzo dawna, nie poprawiała i nie kontrolowała długości sukienki. Nie czuła wstydu. Czuła, że żyje.

Łukasz podszedł do niej dopiero przy drugim kieliszku białego wina.

– Ta sukienka... – zaczął. – Wyglądała, jakby pachniała owocami.

– Może i pachnie. Może nawet nie tylko owocami – odpowiedziała Matylda.

Przy trzecim kieliszku siedzieli już bliżej siebie. Być może zbyt blisko jak na starszą bibliotekarkę i młodszego instruktora zumbi. Ale zbyt daleko jak na to, co oboje czuli od dawna.

– Nie nosisz dziś... – powiedział.

– Nie noszę – przerwała mu, patrząc mu prosto w oczy. – Bo nie wszystko trzeba zakładać.

Zapadła cisza. Ale nie była to cisza niezręczna. Raczej ta, po której coś się zmienia. Wydawało im się, że nie słyszą już gwary rozmów wokół siebie, ani nie widzą tańców na stole w wykonaniu sołtysowej.

Jego dłoń zupełnie niewinnie spoczęła na jej kolanie. Jej skóra zadrżała jak kartka, na której ktoś właśnie pisze najważniejsze zdanie.

– Twoja skóra jest ciepła – wyszeptał.

– I nie mam nic, co by ją chroniło przed twoją dłonią. Ani przed tobą – odpowiedziała cicho.

Skrawek sukienki lekko się uniósł, odstawiając zbyt wiele jak na celebrację pierwszego dnia lata w ogrodzie sołtysowej. Ale dokładnie tyle, by jedno muśnięcie palców mogło sprawić, że Matylda przymknie oczy i zapomni o alfabecie.

On przesunął kciukiem po wewnętrznej stronie jej kolana. Powoli. Jakby odczytywał zdanie w języku, którego właśnie się uczył. Niebo miało kolor dojrzałej śliwki, a Matylda była bardziej naga niż kiedykolwiek wcześniej, choć wciąż miała na sobie brzoskwiniową sukienkę.

BEATA BANASZCZYK

Ken

Tekst jest początkiem większej całości, nad którą pracuję.

Upiłam tyk gorzkiej czarnej kawy, która na dodatek była zimna. Ohyda – powiedziałam do siebie w myślach. Po pierwsze nie miałam hajsu na „fensi” kawki na mieście, po drugie chciałam się skupić na czymś innym – w tym wypadku na okropnym smaku, bo nie chciałam pamiętać co zrobiłam wczoraj.

Nie poznał mnie. Nie byłam zdziwiona, od naszego ostatniego spotkania minęło 10 lat. Nie mam pojęcia jak ten czas upłynął tak szybko, jak mrugnięcie okiem. Do dzisiaj się zastanawiam jak udało mi się nawiać z domu i wbić na imprezę zawodników. Nigdy nie byłam jedną z tych popularnych dziewczyn, zapraszanych na każdą imprezę. Poza tym byłam gówniarą, która kończyła liceum, a oni byli starsi o ponad 10 lat. Nigdy też nie interesowałam się sportem, nawet wtedy kiedy mój brat również zaczął grać w baseball. A potem pojawił się Ken – z ręką na sercu mogę przysiąc, że to najlepszy zawodnik na świecie. Nie prowadzę żadnego rankingu, bo nie ma potrzeby, po prostu tak jest. Nie ma to również nic wspólnego z tym, że jestem w nim zabujana od lat. Absolutnie żadnego. Absolutnie.

To co zawsze mi w nim imponowało to przede wszystkim wytrwałość i konsekwencja. Kilka razy słyszałam jak rozmawiali z bratem i wiem, że Trener powiedział, że nie będzie dobrym graczem. Dziesięć lat później ma na koncie wszystkie możliwe nagrody i puchary. Dzisiaj jest już na emeryturze sportowej i zaproponowano mu posadę głównego trenera „Lwów z Oklahomy”. Przyjął ofertę i teraz szuka asystentki. A mój kochany, uroczy i naiwny brat postanowił, że poleci mnie do tej pracy. Mają kontakt do dziś pomimo, że mój brat mieszka w Peru i hoduje alpaki.

Mimo tego, że Ken najprawdopodobniej mnie nie pamięta, bo był zalany w trzy dupy, ja doskonale pamiętam jak smakują jego usta po wypiciu whiskey. Pamiętam zapach jego ciała – wspomniana whiskey, pot, perfumy Toma Forda „Sekszał Tenszyn”. Co najlepsze, przez te wszystkie lata jego unikalny zapach się nie zmienił. Skąd to wiem?

Bo jednak wracam myślami do poprzedniego wieczoru, kiedy zestresowana tym, że dzisiaj mam rozmowę rekrutacyjną w Klubie, chciałam się rozluźnić i wypić jednego drinka. Kiedy dotarłam do baru, zrozumiałam, że to nie skończy się dobrze bo przy barze siedział Ken. Już byłam bliska wycofania się z baru kiedy w przyptywie nieznanego mi impulsu odwagi, nogi poniosły mnie do miejsca obok niego. Zamówiłam drinka prosząc kelnera o to samo co pan obok. Założyłam się z sobą w myślach, że to whiskey. Wygrałam. Nie lubiłam whiskey, płyn palił w przetyku i był gorzki jak ta kawa trzymana teraz w ręce, ale widocznie mój mózg uznał, że to będzie świetny pomysł zakosztować smaku ulubionego trunku Kena. Towarzysz obok zauważył mnie i kiedy dotarło do niego co piję, uśmiechnął się ironicznie. Zapytał czy może mi zamówić drugiego. Nie odmówiłam. Nie odmówiłam również trzeciego. I czwartego. Piąty drink był tak pyszny jak Coca-cola Zero z kostkami lodu. Mniej więcej w okolicach siódmego drinka zaproponował, żebyśmy pojechali do niego. Oczywiście nie powiedziałam mu, że się znamy ani tego, że jutro stawię się u niego na rozmowie o pracę.

To nie tak, że nie chciałam, tylko po prostu tego wieczoru byłam nieznajomą z baru – tak mi podpowiadał mój pijany mózg. W moim wyobrażeniu pogadalibyśmy chwilę, każde poszłoby w swoją stronę a jutro śmialibyśmy się do rozpuku z całej sytuacji. Tylko, że ja i mój zdradziecki pijany mózg właśnie jesteśmy w drodze do jego mieszkania. Jeszcze się łudzę, że pooglądamy jego płyty i medale, ale prawda jest taka, że już w samochodzie rozbiera mnie wzrokiem a ja wiem, że nie interesują mnie płyty bo mam „Spotifaj” a liczbę jego zdobytych medali znam na pamięć bo przez te wszystkie lata śledziłam rozwój jego kariery.

Po dotarciu do jego wyjebanego w kosmos apartamentu, rzuciliśmy się na siebie bez słowa. No co mogę powiedzieć? NAJLEPSZY SEKS W MOIM ŻYCIU! W tle leciała muzyka...Flora Cash – wiadomo, pozwolił mi wybrać. Mniej więcej po 4 razach padliśmy ze zmęczenia. Przytulił mnie po. Co było jednocześnie słodkie i dziwne, bo wygląda raczej na powściągliwego gościa.

Dopiero kiedy zasnął, dotarło do mnie co ja tak naprawdę zrobiłam. Myślę, że nie mogę zrzucić tego na pijacki amok, bo już w trakcie naszego pierwszego razu byłam trzeźwiutka jak kierowca Tira w niedzielę, który rusza w trasę w poniedziałek. Prawda była taka, że tak samo jak się tego bałam, tak samo tego chciałam. Starłam się schować swoje emocje głęboko, bo nie miałam z nim żadnego kontaktu i nie wiedziałam jaki teraz jest, ale kiedy pojawiła się szansa ponownego pojawienia się Kena w moim życiu – podświadomie szukałam okazji do spotkania. Jednak aż taka głupia nie byłam, żeby zostać na wspólne śniadanko więc kiedy już naprawdę mocno spał zabrałam swoje rzeczy i uciekłam.

A teraz stoję tutaj z kubkiem tej kawy i zastanawiam się jak będzie wyglądało nasze dzisiejsze spotkanie. Czy będzie zły? A może wpadnie w moje ramiona i powie „Nie opuszczaj mnie nigdy więcej! xD”. Sytuacja wyjaśni się za godzinę. O kurwa! Za godzinę!! Pędem odstawiłam kubek i zrobiłam sobie wodę z ogórkiem, nie wiem dlaczego pomyślałam, że to może mi pomóc na kaca – było jeszcze gorsze niż to co piłam przed chwilą, ale i tak nie miałam już czasu więc wzięłam butelkę i ruszyłam w drogę do klubu.

Pięćdziesiąt minut później byłam na miejscu. Dziesięć minut przed czasem – dobry wynik – pogratulowałam sobie w duchu. Na korytarzu nie było nikogo więc nie byłam pewna czy mogę wejść do gabinetu, czy przypadkiem tam kogoś nie ma. Chyba nic się nie stanie jak zapukam. Najwyżej mnie nie wpuści. Im bliżej byłam drzwi tym coraz dziwniejsze odgłosy dochodziły ze środka.

Ryzykuję, pomyślałam.

Uchyliłam drzwi a moim oczom ukazał się widok Kena posuwającego na biurku jakąś blond siksę! Kolana się pode mną ugięły w momencie kiedy zauważył mnie w progu pokoju. Nie byłam w stanie nic wyczytać z jego spojrzenia. Możliwe, że w jego oczach czytał się szok, niedowierzanie ale chyba też wkurwienie. Nie jestem pewna, bo nie spodziewałam się takiego widoku po ostatniej nocy, ale jednej rzeczy nie spodziewałam się jeszcze bardziej – tej obcej, zalewającej całe ciało, dzikiej niepohamowanej zazdrości...

PATRYCJA WOŁKOWSKA

Rodzina

Ciemność rozwarła się i Ada zobaczyła przed sobą drewnianą scenę oświetloną żółtym, ponurym światłem reflektorów. Wiedziała, że musi tam iść. Ktoś na nią czekał. Na środku sceny drewniany stół chybotął się na ludzkich nogach, a dookoła i na nim lśniły plamy krwi.

– Dobrze, że jesteś, peretko. – Głos taty wydobył się z ust kościotrupa, który siedział przy stole.

Adą wstrząsnął dreszcz.

– Tato... – szepnęła z niedowierzaniem. Chciała się cofnąć, ale zdała sobie sprawę, że nie może się poruszyć.

Obok szkieletu-taty siedziała Frida Kahlo i patrzyła w przestrzeń. Ada zbliżyła się. Nie, to była mama. Jej znajoma zacięta mina, puste zielonoszare oczy, bezruch. Nagle karmazynowa kurtyna się poruszyła. Zza materiału wyjrzały dwie dziecięce twarze. Chłód objął Adę. Coś czało się w mroku, była tego pewna. Już prawie sięgało mackami jej ciała.

– Dosiądź się, peretko. – Oczy osadzone w gołej czaszce błyszczą żywo. – W końcu możemy być rodziną.

Ada usiadła bezwolnie, jak gdyby jakaś siła decydowała za nią.

Nagle zza kulis wyszedł mężczyzna o wielkim ciele i malutkiej głowie, cały we krwi. Ada chciała zerwać się i uciec jak najdalej, ale nogi miała jak z ołowiu, ledwo nimi poruszała.

– Nie bój się. – Koścista dłoń, zaskakująco ciepła i miękka w dotyku, zacisnęła się jej na rękę. – To kucharz.

I nagle Ada zrozumiała. Ten mężczyzna złapie i zabije dzieci. Poćwiartuje ich ciała i te najlepsze kęski usmaży, przyprawi i poleje sosem, a później im poda. I oni je zjedzą, bo robią to codziennie od wielu lat.

Zewsząd zaczął narastać szum, jakby krzyk wielu ludzi na widowni. Coś miękkiego dotknęło jej ręki.

Szarpnięcie. Zimne dreszcze i bolesne bicie serca, żyły rozrywane niepokojem. Ada zamknęła usta. To jej własny krzyk. Gorąco. Odrzuciła kołdrę, a jej mokre ciało owiał

przez chwilę chłodny powiew. Rozejrzała się po pokoju. Przez szczelinę w starych roletach rozpychały się promienie słońca, powietrze było duszne mimo otwartego okna. Chyba znów za długo spała. Co za chory sen.

Wygramoliła się z łóżka i poszła do kuchni. Wstawiła czajnik z wodą i wsypała kawę do kubka prosto ze słoika. Ręce jej się trzęsły, nadal osłabione od sennego paraliżu. Szemranie lodówki i widok drzew za oknem wydawały się tak dziwnie zwyczajne w porównaniu do tego, czego jeszcze przed chwilą doświadczała – i jakby mniej realne. Obrazy ze snu migały jej w wyobraźni jak przewijane na taśmie raz po raz. Chciałaby o nim z kimś porozmawiać. Ale nie ma nikogo, kto by słuchał.

Zalała kawę wrzątkiem, wdychając jej odurzający zapach. Wróciła z kubkiem do swojego pokoju, w którym nic się nie zmieniło, odkąd wyjechała na studia i miała wrażenie, że wróciła do świata swojej nastoletniości. Odstawiła kawę na nocny stolik, żeby wystygła i położyła się z powrotem do łóżka. Nakryła twarz kołdrą. Tylko to teraz dobrze знаła. Ciemność.

WIESIA PASZEK

Samo zło

Rodzicielstwo spadło na mnie jak przysłowiowy grom z jasnego nieba, choć w obecnych okolicznościach mojego życia powinnam raczej powiedzieć, że jak wybuch wulkanu bez wcześniejszej wzmożonej aktywności sejsmicznej. To znaczy, niby byłabym przygotowana, niby naczytałam się poradników i przekopałam różne fora internetowe, ale była to sucha wiedza nijak przygotowująca mnie na rzeczywiste doświadczenie wizualno-dotykowo-węchowe macierzyństwa. Dodatkowo, o zgrozo, przekopując te wszystkie fora, nie zwróciłam uwagi na niewinnie wyglądające niuanse lokalne. Bo czymże mogłoby się różnić dziecko w Polsce od dziecka w Islandii? Na pierwszy rzut oka niczym. Głowa, tułów, dwie ręce, dwie nogi i jak dobrze pójdzie dziesięć palców u rąk i u stóp. Te podobieństwa jednak mylą i potrafią uśpić czujność matki emigrantki. Człowiek już się cieszy, że przebrnął przez pierwsze lata życia dziecka bez strat liczebnych na pokładzie rodzinnym. Cieszy się, że ogarnął zawłości systemów opiekuńczych no i zakupił nawet wszystkie potrzebne, a jakże przedziwne ubrania, aż tu przychodzi ... przedszkole.

To był czwarty dzień Zosi w przedszkolu. Po trzech aklimatyzacyjnych, kiedy ta wpadła już w krąg innych trzylatków jakby urzędowała tam od zawsze, czułam się dość pewnie odbierając ją z przedszkola. Pogoda była piękna. Około osiem stopni, słońce i umiarkowany, nieurywający głowy wiatr. Zamiast pakowania się do samochodu postanowiłam zrobić sobie spacer. Trochę przyjrzeć się z bliska otaczającemu mnie światu i przewietrzyć głowę. No i tu kolejna nauczka. Piękna pogoda może być równie niebezpieczna, zwłaszcza dla zdrowia psychicznego młodej matki tak jak i największy sztorm. Ale ja jeszcze o tym nie wiedziałam, kiedy o godzinie 16:05 przekraczałam próg przedszkola. W parterowym szarym budynku było cicho. Zbyt cicho nawet jak na okres tak zwanego leżakowania, choć tutaj można by to nazwać materacowaniem, bo leżaków jeszcze nie wynaleziono. Zaniepokojona zaczęłam wchodzić do kolejnych pustych sal w poszukiwaniu Zosi. Pusto. Wszędzie pusto. Przyspieszyłam kroku, aż przebiegłam przez cały budynek i wypadłam na jego drugim końcu na plac zabaw. Zatrzymałam się nagle, czując rozlewające się po ciele uczucie ulgi na widok rozbawionych i rozbieganych przedszkolaków. Szybko spróbowałam ogarnąć wzrokiem tę gromadę. Bezskutecznie.

Niektóre z dzieci biegały po trawiastych górkach, inne huśtały, a jeszcze inne wspinały po drabinkach. Wszystkie ubrane w kolorowe, gumowe kombinezony pollagalli, w czapki, rękawiczki i kalosze we wszystkich odcieniach tęczy. Wyglądały jak kolorowe klony krasnoludków. Szybko przekopałam w pamięci jaki kolor kombinezonu zakupiłam Zosi. Żółty, pomyślałam i przypomniało mi się jak bardzo się wtedy cieszyłam że wybrała taki niepopularny kolor. Łatwiej ją będzie znaleźć myślałam. No i teraz rzeczywiście szybko ją znalazłam, ale momentalnie zrozumiałam skąd brała się niepopularność żółci. Zosia była w piaskownicy. Ale nieeeee, islandzka piaskownica to nie to co myślisz. Islandzka piaskownica to zło! Zosia siedziała na samym jej środku zanurzając różową łopatkę w czarnym jak smoła piasku i następnie zasypując sobie częściowo pokryte już piaskiem żółte nogawki. Gumowe końce spodni prawie całkowicie zakrywały jej czerwony kalosze mocując to wszystko czarną gumką pod piętą, więc miałam nadzieję, że piach zostanie chociaż na powierzchni. Wyglądała trochę jak osa lub wędkarz w żółtych woderach, ale zamiast jeziora zanurzona była w czarnym piachu. Teraz zauważyłam, że ten sam czarny piasek, który wypełniał piaskownicę, był też poza nią. Był wszędzie i w niczym nie przypominał plaży w Kołobrzegu lub choćby w Mikołajkach. Szybkim rzutem oka zauważyłam że z każdym ruchem różowej łopatki część piasku dolatywała aż do mnie. Wyrwało mnie to z osłupienia. Podeszłam do Zosi, złapałam ją ostrożnie dwoma palcami za przemoczoną już, burą, wełnianą rękawiczkę i wyprowadziłam z piaskownicy. Stałam przed drzwiami do przedszkola i zastanawiałam się co dalej. Musiałam ją przecież jakoś przebrać z tych, jeszcze dzisiaj rano, żółtych pollegalli. Piasek był jednak wszędzie. Przyklejony w każdym zakamarku spodni, a co gorsze też i kurtki. Był jak wyrzut sumienia na moim nierozsądnym żółtym wyborze. Moja konsternację zauważyła Katrin. Przedszkolanka sięgnęła po leżący przy wejściu, na podłodze wąż ogrodowy. Odkręciła kranik i bez słowa zaczęła polewać szlauchem z góry ubranie Zosi obracając ją tylko wokół własnej osi. Woda z czarnym piaskiem spływała stróżką po kombinezonie pozostawiając na betonie mój wstyd, ale Zosię w stanie używalności. Uczucie ulgi musiało być wyraźnie widoczne na mojej twarzy, bo Katrin uśmiechnęła się do mnie szeroko, zakręcając równocześnie wodę. Nie wiedziała ona jednak, że zmieniły się fundamenty mojego postrzegania świata i na zawsze zmieniło się moje postrzeganie brudu. Ja już wiedziałam że jest brud brudny, jak żółciutki niewinny piaseczek i brud brudny, jak zła islandzka piaskownica.

KATARZYNA FRELIK

Emocje przy stole

Usiadłam spocona, zziajana, moje stopy pulsowały w butach trekkingowych. Bałam się je zdjąć, bo mogłam ich z powrotem nie założyć. Patrzyłam na Kubę, zdjął czapkę a spod niej wyłoniły się mokre włosy, ale to było jedyne miejsce, gdzie można było zauważyć u niego pot. Poza tym wyglądał świeżo, nie jak osoba, która przeszła właśnie 17 km po górach.

Usiedliśmy przy stole, ja niezdolna już do żadnego ruchu spojrzałam błagalnie na Kubę.

– Oki, pójde zobaczyć co tu serwują. – Powiedział. A ja patrzyłam na jego oddalające się szerokie ramiona i umięśnione łydki. Ten chłopak był stworzony do chodzenia po górach jak kozica. Ja, pomimo miłości do gór, wymiękałam. Zrobiłam z nim te 17 km, ale nogi wchodziły mi w tyłek.

Gdy wrócił poczochrał mnie po włosach i powiedział:

– Dzielna dziewczyna.

Spojrzałam się na niego z zerowym entuzjazmem i zapytałam:

– To co możemy zjeść w tym schronisku?

Kuba wylistował bardzo krótkie menu i zdecydowaliśmy się na bigos z chlebem, schaboszczaka i naleśniki z serem.

Gdy przyniósł jedzenie, opchnęliśmy wszystko w ułamku sekundy nie marnując czasu na rozmowy. Po napchaniu brzucha skwitowałam:

– Ja idę teraz spać. – I opadłam głową na stół. Kuba roześmiał się i znów mnie poczochrał po włosach.

– To ty księżniczko śpij. Ja zaniosę nasze plecaki do pokoju, a potem wrócę i napijemy się jeszcze piwa, co ty na to?

– Jak to? To dziś już nigdzie nie idziemy?

– Nie, księżniczko, zostajemy tu na noc.

Mało nie podskoczyłam ze szczęścia.

– To mogę zdjąć buty? – Wyrzuciłam najważniejsze dla siebie pytanie.

– Możesz. – Uśmiechnął się i odszedł w stronę pozostawionych przy wejściu plecaków.

A ja z niebywałą prędkością rozwiązałam zasupłane na dwa razy buty trekkingowe i uwolniłam swoje stopy. Jaka to była ulga, jaki przyjemny chłód podłogi. Stopy dalej pulsowały, ale krew krążąca w nich spowalniała, uspokajała się i studziła. „Tak wygląda szczęście.” – pomyślałam.

Gdy Kuba wrócił niósł już 2 kufle zimnego piwa. Tak, teraz mogłam napić się alkoholu. Teraz już tylko odpoczynek.

– To za co pijemy? – Zapytał Kuba.

– Za to że żyjemy? – Powiedziałam nieco sarkastycznie.

– Daj spokój Mania. Wypijmy za to jacy jesteśmy zajebiści. – I stuknął mnie kuflem tak, że piana wylała się na stół.

Piwo dobrze nam wchodziło. Mięśnie się rozluźniały, a wraz z nimi języki. I nagle ta kumpelska wyprawa zaczęła nabierać nowego wymiaru. Kuba odgarnął kosmyk moich włosów, chyba powiedział coś o tym, że jestem piękna. Ja go stuknęłam w głowę mając świadomość, że wyglądam teraz jak siedem nieszczęść. Ale Kuba się nie dał, ciągle na mnie patrzył, jakby naprawdę myślał, że jestem piękna. A ja zaczęłam się nieco rumieć. I przy trzecim piwie też mu powiedziałam, że wyglądam całkiem spoko. I tak siedzieliśmy przy pustych talerzach, kolejnych kuflach piwa i chcąc nie chcąc zbliżaliśmy się do siebie. A to Kuba przysunął krzesło w moją stronę, a to ja jakoś bardziej nachyliłam się w jego stronę. I nie wiadomo kiedy byliśmy już twarzą w twarz, bardzo blisko siebie, dzieliła nas odległość jednego nosa.

Rumieńce od alkoholu i emocji płonęły na mojej twarzy a oczy szklily się. Patrzyłam na piwne a może szarozielone oczy Kuby i odpytywałam. On już jakiś czas temu złapał mnie za dłoń i mocno trzymał. Serce waliło mi jak oszalałe, przed oczami pojawiły się mroczki i właśnie wtedy musnął mnie swoimi ustami. Ledwo łapiąc powietrze, oparłam się o jego ramię głową, drżałam, a on szepnął mi do ucha. – Chodźmy na górę.

I poszliśmy. Zostawiliśmy rozsunięte niechlujnie krzesła, porzuciliśmy naczynia i moje buty.

KAROLINA SAWKA

Kosa

– Zazdrosna? Ja? Nigdy w życiu!

Głos Kosy, jej starszej siostry, niósł się echem po szpitalnym korytarzu. Marlena leżała w Sali 126 i czekała aż rodzice skończą rozmawiać ze swoją drugą latoroślą. Nie musiała ich widzieć, żeby wyobrazić sobie, jak pełne napięcia mają w tym momencie miny.

Na oddziale chirurgii ogólnej z pododdziałem oparzeń w Poznaniu, była drugi miesiąc. Wakacje powoli zbliżały się do końca, zwiastując początek jesieni i powrót do szkoły. To miał być ważny czas dla Marleny – koniec podstawówki i pierwsze dni w szkole średniej. Czas przejścia, zmiany z dziecięcej nastolatki w nastolatkę bardziej poważną i dorosłą. Miało być pierwsze piwo wypite w krzakach za budynkiem nowej szkoły, pierwszy niezdamny seks, pierwsze dramatyczne myśli o beznadziejności tego świata i sensie życia. To wszystko miało się wydarzyć za kilka tygodni, a tymczasem rzeczywistość przedstawiała cztery przerażająco białe, szpitalne ściany, rozognioną i bolesną skórę pod warstwą bandaży i rodziców, próbujących przekonać jej dwa lata starszą siostrę, że wcale nie przestała być dla nich ważna, tylko sytuacja wymaga większego skupienia się na ich młodszej, cierpiącej córce.

Marlena dobrze знаła swoją siostrę. Gdy Kosa z takim przejęciem zapewniała, że zazdrosna nie jest, oznaczało to, że zazdrość wypełnia każdą komórkę jej ciała i nikt nie będzie w stanie tego zmienić. Nigdy nie miały dobrych relacji. Marlena często myślała, że przeskadza Kosie w życiu. Początkowo, gdy była sporo młodsza, próbowała robić wszystko, by siostra ją zaakceptowała, chciała spędzać czas, dzielić się sekretami. Ale po kilku latach bezowocnych starań – odpuściła. A teraz, gdy kolejny tydzień była unieruchomiona, a jej ciało sprawiało wrażenie obcego bytu, była zła, że nie jest jedynaczką.

– Córkuś – odezwała się mama tak spokojnym głosem, że Marlena ledwo ją słyszała. – Wiesz, jaka jest sytuacja. Nie mogliśmy nigdzie pojechać, bo trzeba było zadbać o Twoją siostrę. O to, żeby nie była sama, ale też o rehabilitację, która będzie jej za jakiś czas potrzebna, a która swoje kosztuje. Czasami w życiu dzieją się rzeczy, które wymagają ustalenia priorytetów. I zmiany planów, nawet takich, na które bardzo czekamy. A Marlenka cierpi, dlatego...

– Dlatego wszyscy musimy cierpieć razem z nią. – Wtrąciła Kosa tak głośno, że nie dało się nie słyszeć słów ostrych, jak brzytwa. – Dzięki mamie, ale ja się na to nie pisałam. – Zakończyła nastolatka, po czym uszu Marleny doszedł odgłos szybko oddalających się kroków.

W ciszy, która nagle nastąpiła w szpitalnej przestrzeni, dziewczyna pierwszy raz w życiu poczuła, że nie ma już siostry. Wielka, słona łza wypłynęła z jej prawego oka i zniknęła pod dużym opatrunkiem na czerwonym policzku.

KAMILA KAMIŃSKA

Ocalić od zapomnienia

Teresa sztywnymi kciukami masowała opuchnięte kostki, złorzecząc w myślach na własny upór. Lekarka już dawno nakazała jej nosić uciskowe rajstopy, ale jak tu się zmusić, gdy pogoda w czerwcu tak upalna. Granatowa szmizjerka w drobne jaskółki powędrowała do prania wraz z cienką halką i Teresa prędko zarzuciła na grzbiet nieśmiertelny fartuch, pamiętający jeszcze rządy Władki. Śliski materiał przywarł do zgrzanych ramion, gwałtownie obejmując je chłodem. W ciemnym, długim korytarzu przeszył ją przyjemny dreszcz po raz drugi. Dobrze, że wychodząc raniutko zostawiła przeciąg między luftem kuchennym, a oknem salonu.

Zzajana i spragniona poczłapała do kuchni rozpakować zakupy. Długi rabarbar przedziurawił foliową siatkę, jedyną z logo lokalnego sklepu, ale udało jej się dotaszczyć sprawunki w całości. Kiedyś to były materiałowe taszki, a nie to co teraz. Wszędzie ten plastik wpychają. Głosem matki skarciła się za brak pomysłu. Wszak mogła zabrać więcej siatek, ale kto by się spodziewał, że najdzie ją na placek z rana. A może i wnuki przyjadą kruszonką kuszona, świadectwa pokazać, wakacje celebrować. Obmyła spocone dłonie w zlewie i wrzuciła rabarbar do mycia.

Kazimierz drugi dzień ślęczał nad listami od tego pisarza. Zachodził w głowę w poszukiwaniu nazwisk, numerów domów i zamazanych przez dekady twarzy. Wspomnienia boleśnie kłuły schorowane już serce, ale uparcie rozpisywał kolejne obrazy, tak wyblakłe w pamięci wielu. Ithrowica. Osiemdziesiąt dziewięć istnień. Nawet ksiądz, Bogu ducha winny. Przekreślone życia całych rodzin. Żal. Nienawiść. Polityczne zmiany narracji. Słyszał jak Teresa krząta się po kuchni. Spojrzał na stary, niby złocony zegar. Już dziewięta. Zostały mu dwie godziny pisania. Zanurzył się w wielkoformatowej kartce w kratkę, Drogi Przyjacielu...

Słodki zapach niósł się parterem i wymykał przez szeroko już rozwarte okno kuchenne. Ciasto nastawione rumieniło się z wolna, a na kuchence rozmiękały zrazy. Zawijane podwójnie, jak matka uczyła. Teresa uchyliła ciężką pokrywę, ostrożnie, by obrócić obwiązane grubą nicią ruloniki. Mąką wprawnie rozkręconą w żeliwnym kubeczku zagęściła sos. Prawdziwy, ten z gotowania. Nie jakieś Knorry i inne potwory z reklam. Sos z proszku, kto to widział. Władka się w grobie przewraca na takie profanacje.

Ziemniaki obrane czekały w zimnej wodzie, gdy zadzwonił telefon. Wnuki jadą. Tak czuła. Chyba, że oni wyczuli. Stała w drzwiach pokoju, by Kazika ponaglić, ale zatrzymał ją jego poderwany wzrok. Na ławie rozłożone listy powiewały od przeciągu. Notatki na czerpanym papierze, spisane ołówkiem piętrzyły się obok starego, skórzanego piórnika. Właściwie to kosmetyczki, której nie pozwolił jej wyrzucić, mówiąc, że jeszcze się przyda. Stała tak ze ścierką, wycierając wilgotne jeszcze dłonie i miała wrażenie, że zmałał. Zgarbił się mocniej, zestarzał od wczoraj. Odwróciła wzrok na drewniany barometr, który przekłamywał pomiary od dobrych nastu lat. Ciśnienie mu zmierzy, może mu gorzej.

Kazimierz poprawił grube okulary. Patrzył na drobną, siwowłosą kobietę z włosom coraz mniej skręconym od upału, śladami bezsennej nocy pod oczami. Matczyny niebieski fartuch w pomarańczowe kwiatki, za duży o dobre trzy rozmiary, karykaturalnie wisiał na jej pochylonej sylwetce. Przy otwarciu drzwi w jego nozdrza wdarł się zapach przeszłości.

– Zrazy z rabarbarem? – Zapytał ironicznie.

Kiwnęła tylko z politowaniem. Oboje próbowali ocalić od zapomnienia to czym ich wykarmiono.

ALEKSANDRA KONSTANCIUK

Dzikie gęsi

Dzikie gęsi śniły jej się co noc, latały kluczem nad domem Zofii z dzieciństwa, zawsze kluczem, zawsze przewodząc jakby w podróży, gdzie trzeba wbić się między chmury i ulecieć wysoko. Całe życie były dla niej symbolem domu i rodziny, a ciepłe pióra ukojeniem i powrotem do życia przed Władysławem. We śnie biegła pod ich cieniem, chciała je złapać i dogonić jakby na swoich skrzydłach miały zanieść ją do Anuli i Janka, ale zawsze przy podskoku wrywała jedno piórko i spadała ciężko by obudzić się zrana potem. To jej matka ocierała pot z czoła, przynosiła sucha koszule nocną i ją przebierała, by kołyszac znowu zasnęła w jej ramionach. Stanisława czuła, że jej najmłodsza córka żyje w świecie śmierci, tęsknota i żałoba za dziećmi nie pozwalały wstać jej z łóżka i chociażby usiąść przy stole. Nel z Piotrkim musieli w ciągu kilku tygodni dorosnąć i umieć zaopiekować się sobą samymi gdy o Władysławie słuch zaginął, a nikt go nie szukał ani pijanego w rowach ani knajpach a co dopiero po innych miastach z czarną robotą. Stanisława sprostała zadaniu i zaopiekowała się rodziną. Co noc przebierała Zofię, a rankiem moczyła szmatkę w szarym mydle i przesuwiała wilgotną od skroni po szyję i obojczyki, w których dołach zbierały się mydliny. Podnosiła jej bezwiedną rękę i zlepiony nocą pot ściągała pod pachą i ledwo widocznymi piersiami. Masowała brzuch myśląc, że zmusi go tym do pracy i głodu, a jej córka nabierze chęci do jedzenia, podciągała nogi i pracowała nimi na wszystkie strony i nie czuła żadnego obrzydzenia przy przebieraniu i myciu kału oraz moczu. Zofia na granicy życia i śmierci z dwojgiem dzieci przyglądających się matce i Stanisławie, której miłość do córki była czymś najważniejszym, największym i najpiękniejszym. Wytrwale to wszystko robiła by potem siadać obok i do wieczora opowiadać jak minął jej dzień, jak minął dzień dzieci i jak toczyło się ich życie w Żydatyczach, kiedy wszyscy byli beztroskimi dziećmi biegającymi boso po sadzie.

– Takie jest właśnie życie. Ty żyjesz, masz dla kogo, jestem przy Tobie – mówiła zawsze przed pocałunkiem w czoło i wyjściem z pokoju.

Oczy Zofii nie nawiązywały kontaktu, a usta z braku słów całkiem wyschły, zmoczone tylko wpychającymi łyżkami kaszy i mleka. Jednak pewnego dnia, po bardzo długich tygodniach trwania w letargu odwróciła głowę w stronę cierplivej matki i jej

opowieści, kolejnego złapała ją za rękę, innego wstała sama do toalety i odezwała się. Odwzajemniała uściski i powolne uśmiechy, pytała jak w szkole i jak minął dzień. Cierpliwość i troska o potomstwo Stanisławy była jakby symbolem gęsi, które robią tak samo, opłacała się i powoli podnosiła Zosię z łóżka. Wstawiała do stołu i małymi kęsami żuła posiłki, wystawiała twarz do okna i budziła się z zimowego snu. Nocami śniła ciągle ten sam sen, ciągle spadała z gęsim piórem w dłoni i budziła się przemoczona z cichym krzykiem, ale już sama przebierała koszulę i pościelię. W końcu z nadchodzącą marcową wiosną i tą soczystą zielenią poprosiła Stanisławę o wspólny spacer, matka jej w podskokach ubrała buty i narzuciła płaszcz na ramiona bojąc się, że się rozmyśli. Spacerowały razem, wolno pod rękę by móc rozprostować kości, jakby pogodzone z życiem jednej i drugiej, chociaż dziewczyna tak długo miała jej za złe, że namawiała ją na ślub z Władysławem, miała być panią, a jest chodzącym cieniem, któremu dwa razy rozdarło serce. Mijały uliczki dochodząc do maleńkiego lasu pełnego fioletowych przyłasczek. Wąską ścieżką przez zagajnik trafiły na otwartą polanę i powalonych pniaków drzew z jeszcze uśpionymi robakami i ledwo słyszalnym w oddali śpiewem ptaków. Oparły się o konar drzewa i zamykając oczy wyciągnęły twarz ku słońcu.

– Takie jest właśnie życie – powiedziała Zosia otwierając oczy i wylewając łzy. – Mam dla kogo żyć, ale bądź jeszcze przy mnie – dodała łapiąc matkę za dłoń, a niebo przeciął powrót, cichy i lekki, bardzo symboliczny i zostawiający ślad na sercu. Znowu wróciły dzikie gęsi.

ANNA KRASIŃSKA

Gdyby

Pomyśl sobie – zaczął powoli Józef. – Może przed narodzinami oglądasz wszystkie możliwe wersje siebie. Swojego życia. Może twoje życie jest tym, które świadomie wybierasz z tysięcy możliwych. Może wszystko czego doświadczasz, ból, cierpienie, smutek, to wszystko z czym się teraz mierzysz, to była twoja świadoma decyzja. Może wybrałaś tą wersję, bo dzięki tym wszystkim doświadczeniom stajesz się najlepszą wersją siebie? Może dzięki temu twoje życie wpadnie na właściwe tory? – Józef zaciągnął się i wypuścił w górę chmurę dymu. Następnie przekazał papierosa Agacie.

Znali się od małego. A Józef od zawsze szukał sensu i uzasadnienia dla cierpień, którym poddawana jest nieustannie ludzkość. Religijne uzasadnienia, które oboje słyszeli od przygotowań do pierwszej komunii, dawno przestały mu wystarczać.

Tą obsesję Józefa Agata tłumaczyła sobie jego dzieciństwem. Otóż Józef, z racji imienia jakie nadali mu rodzice, sporo w swoim życiu wycierpiał.

W latach dziewięćdziesiątych imię Józef kojarzyło się, w najlepszym wypadku z wąsatym jegomościami, w najgorszym z pijanym żulem spod sklepu. Najczęściej funkcjonowało z przymiotnikiem „stary”.

W tym imieniu koncentrowała się cała inność jego rodziny i samego Józefa. Nie pomagało również to, że najpierw matka, a potem sam Józef, upierali się żeby do niego tak się zwracać. Nie „Józek”, tylko właśnie pełnym imieniem – Józef.

Chociaż prześladowania w szkole krążyły wokół imienia właśnie, to jego przedmiotem była tak naprawdę inność Józefa. Miał jako jedyny chłopak długie włosy, był przemyślany, a jego matka niezbyt lubiana we wsi. Ojciec Józefa, z racji zarabianych pieniędzy, jako jedyny budził szacunek, ale był wiecznie nieobecny.

Agata zaciągnęła się i pomyślała o tym jakie to niezwykle, że właśnie Józef, nielubiany, wytykany przez całe życie palcami odrzutek, ma w sobie tyle optymizmu, wiary w ludzi i porządek wszechświata.

Potrafił znaleźć światło w najgorszych okolicznościach i coś co nadawało im większy sens. Agata wiarę w sens straciła dawno temu, gdzieś w okolicy pierwszej miesiączki.

Co nie przeszkadzało jej toczyć z Józefem wielogodzinnych rozmów na ten temat. Uwielbiała się z nim o to spierać i uznawała to za pewien rodzaj sportu.

Chcesz mi powiedzieć, że ty świadomie wybrałaś wersję siebie, która prawie dostaje się na ten płatny doktorat w Wiedniu? — Zaczęła ze złośliwym uśmiechem. — Wybrałaś tą wersję siebie, która do końca życia będzie pracować u nas w hurtowni budowlanej i mieszkać z rodzicami?

Józef na chwilę spoważniał wydmuchując kolejne kłęby dymu.

Tak i mówię to zupełnie poważnie. Tak musiało być. Może ten doktorat i wyjazd to byłoby jedno wielkie rozczarowanie?

Nie wierzę ci — powiedziała Agata — po prostu ci nie wierzę, że tak na to patrzysz.

I pomyślała o swoich wszystkich rozstajach życiowych. O tych wszystkich momentach, w których jej życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej. O tym, że miała studiować w Toruniu, daleko od domu, ale we wrześniu rozchorowała się matka i Agata nie mogła jej zostawić. O tym, że prawie wyszła za mąż, za człowieka, którego przecież nadal kochała.

Żyła ze skartowaciałą wersją siebie. Samotna, niekochana, w pracy, której szczerze nienawidziła.

Józef zauważył jak przygasała.

No, ale serio uważasz, że gdybyś skończyła te swoje wymarzone studia twoje życie wyglądałoby inaczej? Nie znalazłabyś pracy w zawodzie. Byłabyś zmuszona wrócić do domu i wylądowałabyś w tym samym miejscu, gdzie teraz.

Agata pociągnęła łyk piwa z butelki. Nie cierpiała, kiedy Józef miał rację.

Wzięłabyś ten swój wymarzony ślub i co dalej? Rozstalibyście się po roku. No chyba, że zdecydowałbyś się nie zauważać jego zrad. Ale trudno by taką wersję wydarzeń uznać za szczęśliwe zakończenie, prawda?

No dobrze. — Agata była już bliska kapitulacji. — Załóżmy, że to prawda. Że nasze życie to najlepsza możliwa wersja. Że to co nas spotyka, jest dla naszego dobra. Nie jest ci czasem smutno, że w porządku wszechświata nie ma miejsca dla wersji ciebie, która zasługuje na ten doktorat w Wiedniu, a w moim na miłość?

Nigdy nie powiedziałem, że nie jest mi z tego powodu smutno — powiedział Józef sięgając po butelkę piwa.

MONIKA WERESZCZUK

Czysta Przyjemność

Marianna stała na pomoście i obserwowała pofałdowaną taflę jeziora. Słońce odbijało się na nim pozostawiając gdzieś złociste cętki. Oczywiście była 15 minut wcześniej. Obok niej przebiegły roześmiane przyjaciółki. Obie miały na sobie szorty jeansowe i góry od bikini z włóczki. Obciągnęła swoją sukienkę i jeszcze raz zastanowiła się czy to aby odpowiedni strój do miejsca. Charakter spotkania miał jednak dla Marianny większe znaczenie. W końcu to była randka, a ona w dopasowanych sukienkach czuła się, jak ryba w wodzie. Choć nie lubiła ani ryb ani otwartych zbiorników wodnych. Nieznajome już dawno odpłynęły zostawiając Mańkę na pomoście z echem śmiechu i brzdękiem otwieranych puszek coli zero. W życiu nie zbliżyłaby do ust takiej puszki. Najpierw by ją umyła, a potem przelała zawartość do szklanki. Kusiłoby ją użycie sitka, odkąd jednak chodzi na terapię, stara się nie popadać w paranoję. Roześmiane dziewczyny kierowały się w stronę dzikiej plaży, na której o tej porze nie było żywej duszy. Zdażyła jeszcze dostrzec, jak ściągają góry od bikini machając nimi zamazyście i zniknęły za sitowiem. Została sama na drewnianych deskach. W zasadzie sam na sam z nim. Rowerem wodnym, który wyglądał jakby ktoś wyłowił go przed chwilą z dna jeziora. Wzdrygnęła się i w tym samym momencie usłyszała:

– Zimno ci? Cześć jestem Eryk.

– Hej, Marianna. Nie, po prostu się poślizgnęłam – skłamała Mańka.

Pomyślała, że Klara miała rację, facet był zabójczo przystojny. Walić to! Wsiądzie do tego wraka, nie wycierając go uprzednio mokrymi chusteczkami. Da radę! Eryk już podawał jej dłoń, a ona kątem oka dostrzegła, że w rowerze w miejscu pod pedałami zebrała się woda. Wzięła głęboki oddech. Wyciągnęła ręcznik i położyła na siedzenie, cały czas trzymając jego dłoń, silną męską dłoń. Usiadła podciągając stopy jakby pod nimi było pole minowe. Trafiała w pedały, uff. Chłopak podał jej kamizelkę ratunkową, jednak wystarczyło zerknięcie na brązowe brzegi niegdyś w całości pomarańczowego materiału i powiedziała – Doskonale pływam, dzięki. Wzięła kamizelkę pomiędzy dwa palce, odłożyła ją na tył roweru jakby trzymała bombę i natychmiast wytarła opuszki w ręcznik. Zauważyła, że Eryk ją obserwuje. Pewnie myśli, że jest jakaś walnięta.

Marianna weź się w garść mówiła do siebie. Jednak on nic nie mówił, uśmiechał się co jakiś czas i z pewnością siebie prowadził ich przez jezioro śladami światła. Nagle gwałtownie skręcił chcąc ominąć boję, która musiała mu umknąć pod słońcem. Stopy Marianny ześlizgnęły się z pedałów i jedną z nich, odzianą beżowym sandałkiem, dotknęła wodnistej kałuży czując zarazem jak na dużym palcu rozwija się jej grzybica. On zachował się podobnie, wierzgając na siedzeniu. Pewnie chciał wyprowadzić ich na prostą. Dobrze, że nie widział jej miny tuż po spotkaniu z zebraną w rowerze wodą.

Płynęli dalej. Eryk był wyraźnie oczarowany, choć nadal małomówny, ale Mariannie jakoś to nie przeszkadzało. Odwzajemniała jego przelotne uśmiechy i na moment zapomniała, gdzie się znajduje.

– Przepięknie te promienie odbijają się od tafli jeziora, prawda? – Zapytała rozpromieniona ulotnością chwili.

– Tak! Zupełnie nie rozumiem czemu jeziora są tak niedoceniane. Wszyscy gnają nad morze. A przecież to dzisiaj, no... czysta przyjemność.

Marianna zatrzymała się na słowie „czysta” i spojrzała w dół na glony przyłączone do boku roweru. Rozbawiła ją ta gra słów, lecz tym razem się nie wzdrygnęła.

Zaczęli swobodnie rozmawiać, najpierw o animacjach, które oboje uwielbiali i okazało się, że Eryk też kocha Szczerbatka. Potem wspominali lata 90. i „Tańczącego z wilkami”, próbując nadać sobie wzajemnie indiańskie imiona. Przeszli płynnie do czytanych powieści, gdzie ich dopasowanie się rozminęło. Aż doszli do sztuki współczesnej, którą okazało się miłują oboje. Marianna była rozpromieniona. W życiu nie pomyślałaby, że będzie zachwycona na środku jeziora, do którego sikają ludzie i psy, na dodatek siedząc w nigdy niedezynfekowanym, używanym już wielokrotnie tego lata rowerze. Ale autentycznie była zachwycona. Nie zwracała już uwagi na dziwne ruchy ciała Eryka, który co jakiś czas to się wzdrygnął, to coś poprawił. Może się denerwował? W tym momencie z oparcia siedzenia spłynęła mała strużka błotnistej mazi i dotknęła łokcia Marianny. Krzyknęła wewnętrznie niczym szekspirowska bohaterka. Zewnętrznie jednak z jej ust wydobył się uroczy chichot, jak Audrey Hepburn ze „Śniadania u Tiffany’ego”. Mańka miała jednak nie czarną, a białą sukienkę. To oczywiście, na bieli lepiej widać brud.

Eryk zaczął zawracać, kiedy słońce powolutku chowało się za wysokimi brzożami podświetlając ich zwisające liściaste gałązki. Droga powrotna minęła im równie przyjemnie. Pod koniec wszędobylski brud, glony i dziwny zapach w ogóle Mariannie nie przeszkadzały. Chłopak pomógł jej wysiąść z roweru wodnego, a kiedy schylał się po swoją nerkę, którą rzucił na tyły, z kieszeni wypadła mu maleńka butelka żelu antybakteryjnego.

– To... to... – Eryk jąkał się i zrobiło mu się głupio.

– To było wspaniałe spotkanie – dokończyła Marianna i pomyślała, że spotkała bratnią duszę. Używała ten sam żel!

Chłopak uśmiechnął się i poczuł na powrót swobodnie.

– Może najbliższa randka w galerii sztuki współczesnej? – zapytał.

Oboje oczyma wyobraźni już widzieli wielkie białe przestrzenie, zero kurzu, jasne światło ukazujące eksponaty zamknięte we szkle i oni patrzący sobie w oczy. Do czasu aż ktoś z nich nie zerknie w dół na brudne buty niektórych zwiedzających.

AGATA SCHUBERT

Gdybym była tobą...

Gdybym była Tobą, może byłabym bardziej. Bardziej wygadana, pewna siebie, rozemocjonowana kiedy potrzeba. Nie zajmowałabym krzesel w kącie, nie przygryzała paznokci zamiast coś powiedzieć. Sprzeciwić się głośno lub odgryźć. Nie leżałabym w łóżku szukając zamiast snu tej jednej dobrej odpowiedzi. Obracając w głowie jedną lepszą od drugiej, tyle że każda przyszła spóźniona, gdy już nikt poza mną na nią nie czeka.

Gdybym była Tobą, nie płakałabym tyle w poduszkę. Zamiast ciszy i niedopowiedzeń, wołałabym słowa, które czasem ranią, ale dają wiedzę. Działania zamiast czekania na jakiś bliżej nieokreślony znak, źle zrozumiany gest, święte nigdy. Nie roztrząsałabym „a co by było, gdyby”, tylko zamieniała „gdyby” w rzeczywistość. Koślawą, nieoszałamiającą, czasem gorzką od pomyłek, których nie da się tak prosto naprawić lub zapomnieć.

Nie zamartwiałabym się, że jestem tak nieidealna, bo najbardziej nieidealna czułaś się wtedy, gdy ocierałaś się o niebo. Nie myślałabym tyle, że nie zasługuję, nie potrafię, może później. „Nie wypada” wyrzuciłabym ze słownika. Cieszyłabym się więcej zamiast martwić. Bardziej korzystała z tego, co masz – dnia, ochoty, intuicji, serca, czasu. Kazała się wypychać innym, zamiast zapychać sobie myśli ich oceniającymi słowami.

Gdybym była Tobą, chciałabym nie być taka zmęczona. Więcej zapamiętywać i więcej odpuszczać. Rozkoszować się tymi chwilami szczęścia, których wciąż masz tak dużo i tak łatwo wypuszczasz je z rąk. Gdybym mogła, chciałabym je kolekcjonować, wkładać do gablotek w wielkim muzeum, łączyć, zszywać, dbać o nie, restaurować, by się nie zestarzały, recytować bez zająknięcia wybudzona w środku nocy – zapach, dźwięk, porę dnia, światło, każdy najmniejszy szczegół. Chciałabym więcej pamiętać.

Gdybym była Tobą więcej bym się śmiała, tańczyła, śpiewała. Pozwalała sobie na błędy. Na próby. Na poszukiwania. Nie traciłabym tyle czasu na domyślanie się zamiast pytać. Chodziłabym więcej po górach i nauczyła się pływać. Spędzałabym więcej czasu razem zamiast osobno. Więcej bym przytulała, mniej krzyczała. Tak jak Ty kochałabym całą sobą.

Gdybym zmieniła w Tobie tyle, ile chciałabym zmienić, nigdy nie stałabym się sobą.

SONIA ZAJĄC

Najlepsza Przyjaciółka

— Kocham cię i lubię. Jesteś wspaniała i najulubieńsza! — Pola wykrzykiwała pełna entuzjazmu i podskakiwała wesoło jak piłeczka. — Jesteś najlepszą mamą na świecie i moją najlepszą przyjaciółką — zaszczebotała i ucałowała Ewę w nos.

Ewa poczuła jak cała sztywnieje. W głowie pojawiło się znajome pulsowanie, a przed oczami zatańczyły różnobarwne mroczki. Zgasiła szybko światło w przedpokoju. Od dawna nie miała migreny, ale dobrze знаła ten rozmazany obraz, drętwiejące wargi i brak czucia w palcach u rąk. Zaciśnęła mocno oczy i wzięła głęboki oddech.

Kiedyś już to słyszała.

— Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Tylko przy tobie mogę być naprawdę sobą. Tylko ty zawsze jesteś obok. Tylko dzięki tobie jakoś daję radę. Tylko ty zawsze pomożesz, wysłuchasz, doradzisz. Jesteś ze mną, obok, blisko.

Tylko ty, tylko ty, tylko ty — powtarzało się jak refren piosenki, której Ewa chciałby nigdy nie słyszeć. Zwłaszcza od Bożeny.

Bo to „tylko ty” powodowało, że Ewa czuła jakby nie miała wyboru. Jakby ciągle coś musiała, a jej życie determinował jeden cel.

Sprawić, żeby Bożena była szczęśliwa.

Przyjechać w niedzielę na obiad, chociaż wolalabym powylegiwać się w łóżko albo iść ze znajomymi na plażę.

Spędzić święta z chłopakiem w górach zamiast oglądać z matką „Szkłana pułapkę”, tylko we dwie pod kocem zajadając pierogi z kapustą, których nienawidziła, ale które Bożena specjalnie dla niej lepiała od lat.

Umawiać się z Bożeną na popołudniowe spacerunki po lesie, mimo, że po prostu chciała odpocząć po pracy, poczytać książkę albo nic nie robić.

Organizować dla matki wakacyjne wyjazdy poświęcając na to ostatnie dni urlopu.

Musiała też wiedzieć czy Bożena ma skręcić w prawo czy w lewo. Gdzie zaparkować, o której wyjechać do lekarza, co zrobić na obiad, gdy przyjedzie Konrad, jak spędzą święta, co kupić babci Marysi na urodziny.

Być, wiedzieć, decydować.

Ciągle, nieustannie, teraz, zawsze i na wieki.

Ale z drugiej strony przecież nie mogła zostawić Bożeny z tym wszystkim samej.

Z tymi decyzjami, problemami, z tą samotnością.

Przecież bez niej Bożena sobie nie poradzi. Będzie smutna i nieszczęśliwa. Być może znowu pochłonie ją blade różowe kanapy na której przez lata zatapiała się w kocach i czerwonym słodkim winie? Kolejny raz, jak przed laty, wciągnie ją melancholia, bezsenność, wróćą myśli, że nie ma na nic ochoty, życie nie ma sensu, a jej brakuje siły, żeby podnieść się z łóżka.

Do tego Ewa nie mogła dopuścić. Dlatego, zaciskała zęby i rozbiła wszystko co w jej mocy, żeby zająć Bożenie czas, zorganizować jej życie, sprawić, żeby matka była zadowolona, a jej życie miało sens.

Zresztą czy nie był to jej obowiązek? Przecież była jej córką i jak podkreślała Bożena, najlepszą przyjaciółką. Ukochaną, najwspanialszą. Taką mądrą, zaradną, która wszystko potrafi i ze wszystkim sobie poradzi. Matka miała tylko ją. Kto inny miał się zająć Bożeną?

Poza tym przecież właśnie tego chciała zawsze mała Ewa. Matka przez całe jej dzieciństwo była nieustannie zmęczona, zła, sfrustrowana, a ona mimo starań, nie mogła nic na to poradzić. Mała Ewa bez przerwy swoim gapiostwem, zapominalstwem i bałaganiarstwem sprawiała, że mama traciła cierpliwość, zaciskała szczęki, milczała i trzaskała. Teraz kiedy już była dorosła wreszcie się udało.

W końcu duża Ewa sprawiła, że Bożena, dzięki niej, miała dobre życie. Duma rozpieęła jej serce, mimo, że czasem myślała sobie, że jest tym wszystkim zmęczona. Poczucie obowiązku brało zwykle górę. Bo przecież Ewa była przede wszystkim odpowiedzialna i robiła to, co należało. Kto jak nie ona?

Dzisiaj, kiedy jej 5 letnia córka wykrzyczała radośnie te kilka słów, coś w niej pękło.

Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Ewa poczuła jak ogarnia ją strach. Strach przed tym, że ten mały człowiek, który ledwo potrafił zawiązać buty i sam umyć zęby, mógłby dźwigać ten ciężar. Potem dotarło do niej coś jeszcze. Że ona, Ewa, która była już duża, buty sama wiązała od zawsze i pucowała zęby na błysk, też ma prawo żyć własnym życiem. Nie musi mieć w sobie tego żalu, złości i frustracji, że ciągle coś musi. Nie musi nic dźwigać. Nie musi być świętą, ani córką roku. Teraz ani nigdy więcej.

LUIZA MASZEWSKA

Stefan

– Stefan, komu ty machałeś? Dziewczyny mówią, że machały do Ciebie i że odmachnęły im!!!

– Nikomu nie machałem, nie machałem, no... – Zdezorientowane oczy Stefana błędziły to po jeziorze, tuż przed nimi, to po córce, która trochę jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię, to po jej dwóch przyjaciółkach, wpatrujących się z kolei w czubki swoich butów. Tłum ludzi nad jeziorem i rodzinna awantura, no pięknie.

– To ja tu krzyczę, na dziewczyny, że wypląnęły bez pozwolenia i nie dają znaku, co z nimi, ja tu się denerwuję, a tu się okazuje, że były na pomoście i że machały! I Ty machałeś Stefan. Tylko jeśli nie im to komu Ty machałeś? Komu?!!!

– No, nie wiem – wybąkał Stefan, już bardziej do siebie niż do Aśki, która i tak już dawno zabrała ręcznik, okulary i klapki, i odmaszerowała przed siebie, zabierając jakby przez domniemanie wszystkie trzy dziewczyny i zagadując nadmiarem słów całą sytuację. Nie zaszczycając przy tym męża nawet jednym spojrzeniem.

Zebrał pozostałe rzeczy i powlókł się za nimi do pensjonatu. Przyzwyczyił się już do bycia strofowanym i bardzo się starał nie zwracać na to uwagi, ale ostatnio coraz gorzej mu szło. Rany. Przecież on się stara. Głównie schodzić z drogi i niczego nie zaogniać. Aśce za to od jakiegoś czasu przeszkadza już chyba nawet to, że oddycha. Przy śniadaniu opowiadała dziewczynom (i co z tego, że mają po 17 lat, dla niego to cały czas jego mała córeczka i jej koleżanki, w skrócie – dzieci), że w nocy nie mogła spać, bo on rzekomo ją dusił.

– Zabić mnie chciał, rozumiecie? – podkreślała z zaangażowaniem.

– Obudziłam się w środku nocy, przerażona, bo to nigdy nic nie wiadomo. Patrzą, a Stefan należy skulony na boku, w kącie łóżka.

Ile w tym ukrytej pogardy, jakby jej nie pasowało, że co tak właściwie, że nawet do zabicia jej się nie nadaje? Bo przecież do życia, załatwiania spraw, codziennego ogarniania, to na pewno nie. Wszystko źle.

No jak źle, jak po prostu tak jak zwykle. Tak jak zawsze? Kiedyś chyba jej nie przeszkadzało. W sumie już nie pamięta, tak dawno to było.

A teraz, ech...

Doczłapał do pensjonatu i z ociąganiem dołączył do wspólnego stolika i obiadu.

Za długo się oczywiście decydował, co chce zjeść. Dopytywał, co zamówiła Aśka, też niedobrze. Na szczęście córka z koleżankami były tak pochłonięte rozmową, że zdawały się nie zwracać na nich uwagi.

Nie rozmawiali.

Za to popołudniu pożałił się Marysi. Nie chciał, ale samo się wyrwało.

– Czego ty się spodziewałeś, przyjeżdżając tu razem z nami, Tato? Że będzie inaczej, niż w domu? Serio?

Swoim zwyczajem przemilczał. Następnego dnia jechali do akwaparku. Deszcz ograniczył użyteczność jeziora, a oddalone o kilka minut drogi zjeżdżalnie wydawały się atrakcyjnym rozwiązaniem.

W drodze coś sobie uświadomił.

– Zapomniałem kłapek – wybąkał i rozpętało się piekło. Aśka zawróciła auto z piśkiem opon. Krzycząc i przeklinając, pędziła jak szalona.

Dziewczyny z tyłu siedziały jak trusie.

Tylko Marysia w pewnej chwili słodkim tonem rzuciła:

– No, to kiedy ten rozwód?

Po chwili byli pod pensjonatem. W totalnej ciszy wysiadł z samochodu i pobiegł po klapki. Zza pleców dobiegły go słowa:

– Przepraszam was, dziewczyny za te przekleństwa, ale same widzicie, jaki z niego chuj, do niczego się nie nadaje. Pamiętajcie, nie wiążcie się z żadnym facetem, bo to tylko kłopot i uwiązanie.

Bez sensu.

Wrócił z klapkami. Siadł, zamknął drzwi.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– A ty Mańka? Czemu nie przypomniawsz ojcu, żeby klapki wziął, co? Czemu? – Aśka nie dawała za wygraną.

– A co to, moje dziecko jest? Albo mój mąż? – odparła Marysia, – To ty za niego wyszłaś! Trzeba było nie wychodzić.

Nie wiedział do końca, dlaczego ale usłyszał jak mówi:

– Zatrzymaj samochód.

– Co? – usłyszał.

– Zatrzymaj się – powtórzył głośniej.

Wysiadł. Nawet nie trzasnął drzwiami. Idąc poboczem, nie odwrócił się ani razu.

Przez jakiś czas słyszał jeszcze za sobą najpierw wściekłe, a potem coraz słabsze:

– Stefan, Stefan, Stefaaannn...

MARTYNA GŁOWNIA

PINK

Ta głupia Kaśka z 6 c znowu się ze mnie ze mnie nabija! — Szybko rzucam plecak na łóżko, dwoma kopniakami zsuwam z nóg nowe adidas, jak twierdzi Kaśka podróbki!

PINK dźwięk Messengera odbija się od kieszeni moich spodni. Wyciągam telefon i jednym dotknięciem palca rozświecram pęknięty ekran.

To Kaśka, na czacie szkolnym — odpalam wiadomość i zamieram.

„A widzieliście jakie Jolka miała wstrętne, tanie podróby dzisiaj?” — i trzy płaczące ze śmiechu buźki.

PINK wysłała zdjęcie moich butów, pod którym bardzo szybko wpadają reakcje: jedna, dwie, pięć, dziesięć reakcji, śmiejących się i jedna buźka zielona — wymiotująca.

Widzę jak trzy kropeczki skaczą w lewym rogu ekranu.

„Gabi: Fuuuj!! To jakieś chińskie badziewie! Jak tak można! Pewnie teraz Twoja stopa wali jak najgorsze szambo, co? @Jolka??” — kolejne *PINK* oznacza tyle, że wywołała mnie do odpowiedzi.

— Głupie suki! — rzucam telefonem w stronę ściany, na szczęście nie dolatuje i opada na fotel. Mama by mnie zabiła. Na pewno nie kupiła by mi nowego. *PINK*, *PINK*, *PINK* — trzy krótkie dźwięki przyciągają mnie do telefonu jak magnes.

„Krzysiek: Wieśniara.

Bartek: Jak nie lumpeksy, to podróby.

Anka: Weźcie kurde, czemu jesteście tacy wredni?!

Krzysiek: Anka wyluzuj, Jolka—Patolka już się na bank przyzwyczaiła.”

Nie przyzwyczaiłam się. *PINK* — wyskakuje nowe okienko rozmowy. Wyświetla się imię Janek, nie kojarzę go chyba...

„Janek: Nie przejmuj się tymi idiotami! Dla mnie jesteś super.”

... Co? Ja? Super? Pewnie sobie jaja robi. Odpisze mu tylko krótkie, „ta jasne”.

PINK „Janek: Naprawdę, oni są durni, nie znają się, nic nie wiedzą o życiu! Starzy dają im siano i myślą, że na tym życie polega.”

Wpatruje się w jego wiadomości, palce same suną na klawiaturę : „A my się w ogóle znamy? Do której chodzisz klasy?”

Wysłane, odczytane, kropeczki podskakują.

PINK „Janek: Ja chodzę do 7 a, czasem mamy razem w-f, trochę mi wstyd, ale nie wiedziałem jak do Ciebie zagadać...”

Zagadać? Do mnie? On chciał do mnie zagadać? Janek? Janek z 7 a? Nic mi to nie mówi...

PINK „Janek: Sorry, pewnie myślisz, że jestem żałosny, nie przejmuj się mną i tak mnie nikt nie zauważa, więc nie dziwie się, że Ty też.”

– Nie poczekaj, jestem tylko w szoku... to raczej mnie nikt nie zauważa... nigdy, albo tak jak dzisiaj...

Wysłane, odczytane, kropeczki podskakują.

PINK „Janek: moim zdaniem jesteś super..., a nimi się nie przejmuj” – i emotka z buziaczkiem. Uśmiecham się mimowolnie na tę emotkę.

Janek jest super.

Dwa tygodnie później, dalej nie udało mam się spotkać na żadnej przerwie. Janek, albo się uczy do kartkówki, albo kończy inaczej jak ja.

PINK wyciągam telefon z kieszeni, dymek ze zdjęciem serca przebitego strzałą informuje o kolejnej wiadomości od Janka.

„Janek: a może spotkamy się po szkole? Tam za boiskiem? W starym parku, gdzie huśtawki?” – Poczulałam jak moje serce robi fikołka i trzy salta ze szczęścia. Szybko odpisuje.

– No pewnie! O której?! Zaraz po szkole?

Wysłane, odczytane... kropek podskakujących brak. Wpatruje się w telefon prawie minutę, dwie, trzy... nic... zmienił zdanie? O! Wreszcie są! Kropeczki tańczą w dolnym rogu.

PINK „Janek: Muszę po szkole iść pomóc babci, co powiesz na 20?”

Dwudziesta to późno... mama nie będzie chciała mnie wypuścić. Tym razem ja zwlekam z odpowiedzią co niepokoi Janka, który wysłał już cztery znaki zapytania.

– Dobrze! Będę! – odpisuje szybko, a do mamy dzwonię i mówię, że zapomniałam jej powiedzieć o projekcie na biole, który robię z Anką, i że wrócę później.

Po drodze naprawdę pobiegłam do Anki, tak serio, czyli nie okłamałam mamy tak do końca. Anka to jedyna osoba z którą miałam nawet znośne relacje. Nie przyjaźniłyśmy się, ale zawsze mi pomogła. Powiedziałam jej, że mam spotkanie, zapytałam czy mogłaby pożyczyć mi jakąś fajną spódniczkę i sweter. Zgodziła się od razu, jednak też nie umiała skojarzyć Janka z 7 a. Trudno, chyba faktycznie był niewidzialny jak ja.

Już o 19:45 siedziałam na huśtawce, zdenerwowana machałam nogami przez co nie mogłam się równo unosić w górę. Rozglądałam się nerwowo, ale nikogo nie było.

Złapałam za telefon, żadnych wiadomości. A co jak mnie wystawił?

Przez furtkę wszedł jakiś stary facet. Gruby i łysy, przetarł czoło chusteczką i ciężko usiadł na ławce naprzeciwko.

Popatrzyłam na godzinę, jeszcze 5 minut... Nie wytrzymałam i napisałam szybką wiadomość.

„Jak coś to już czekam” i uśmiezek. *PINK* usłyszałam dźwięk Messengera, ale nie był to dźwięk z mojego telefonu.

Podniosłam oczy znad ekranu i zobaczyłam, że ten obleśny facet idzie w moim kierunku.

– Cześć – mężczyzna uśmiechnął się do mnie, miał straszne, żółte zęby i głośno oddychał.

– Dzień dobry – zesłam z huśtawki i się cofnęłam – czekam na kogoś, przepraszam. – Oddaliłam się kawałek i kliknęłam ikonkę słuchawki i dymku Janka. Poczułam jak dreszcze przebiegły mi po plecach gdy melodyjka połączenia zadzwoniła za moimi plecami.

– To na mnie czekasz Jolu – wysapał mężczyzna i zacisnął dłoń na moim ramieniu – to ja jestem Janek.

SYLWIA DEC

Matka Boska naturalnych rozmiarów

Dwa dni później wparowała do mnie rano Luśka, gdy próbowałem dojść do siebie po kolejnej nieprzespanej nocy. Za oknem listopad, w głowie listopad, zamiast serca jedna wielka czarna dupa. Przed oczami wciąż miałem szyderczy ryj Kostiana Kosiarza, to bezczelne xoxo na zdjęciu, ten haczykowany nos, który jak dla mnie mógłby stać się drabiną do piekła. Wciąż pamiętałem nieszczęsną madame Meduzę i jej nędzny koniec, a widok jej ciała budził we mnie refleksję, która pętała mi brzuch niewygodnym ciężarem.

I Luśka. Z samego rana. Uśmiechnięta jak Anioł Stróż z tandetnego obrazka, prowadzący zabłąkane dzieci przez zarośla.

– Darek, to nie może tak być – wparowała do mojego mieszkania, gdy tylko doczłapałem się do drzwi. – Musisz się rozerwać.

– Rozerwać? – jęknąłem, a smętne echo poniosło się przez korytarz, jakbym był udręczoną dziewczyną z powieści dla nastolatków, wypatrującą seksownego wampira na korytarzach elitarnego koledżu. – Jak tak dalej pójdzie, to kto inny mnie rozerwie.

– Ty sam się rozerwiesz – parsknęła Luśka i bez pardonu wbiła do mojej sypialni – jak tak będziesz siedział na dupie i snuł swoje rozważania. Pamiętaj, że ja cię znam! Ja wiem, co ty odpierdalasz, kiedy jesteś smutny.

Jej głos dobiegł jakby z oddali. A ja zrozumiałem wszystko, gdy stanąłem w drzwiach sypialni.

Luśka, z rudym warkoczem, okręcona pasiastym szalikiem, który spływał po sztrukturalnej kurtce, właśnie grzebała w mojej szafie.

– Tu masz majtki – zawołała, rzucając na łóżko bokserki. – Tu leci koszulka, tu sweter. Nie ma pierdolenia, ubieramy się, kochany!

– Czy ciebie dopadło odpieluszkowe zapalenie mózgu z opóźnionym zapłonem? – Oparłem się o framugę, bo trochę mi się zakręciło w głowie. – Nie jestem twoim dzieckiem!

Wyobraźcie sobie to: stoicie w gaciach od piżamy, w głowie wam tętni tylko myśl

o tym, że gdzieś po świecie krąży morderczy skurwiel, żądny waszego serca, jelita, śledziony, chuj wie, czego tam jeszcze.

A wasza przyjaciółka właśnie wam kompletuje garderobę, jakby to był 1993 rok i pierwsze wyjście do zerówki.

Chciałem zrobić aferę. Chciałem wypierdolić Luškę za drzwi. Za oknem szarości rozlewały się po świecie, liście drzew już kruszył szron, niebo zakrywały ciężkie, nabrzmiące chmury. A przez moją głowę zaczęła przepływać tyrada, tak ciężka, jak te brzuszyska chmur nad światem.

Odpierdol się Luška. Nic nie rozumiesz, Luška. Nie jestem twoim pierdolonym dzieckiem.

Ale zanim ta tyrada zdążyła mi spłynąć z języka, Luška stanęła przede mną z szerokim uśmiechem.

– Możesz też założyć kalesonki, bo zimno – parsknęła, wyciągając najbardziej wstydliwą rzecz, jaką miałem w szafie.

Pasiaste kalesony, które matka kupiła na 20-ste urodziny. Bozia dzieci daje, ale strzeżonego strzeże, powiedziała mi wtedy, musisz teraz dbać o swoją męską dumę i zdrowie, bo kto cię zechce, jak dzieci z tego nie będzie.

Nie rozumiałem wtedy, co matka ma na myśli. Ale ona popatrzyła wymownie to na swoje krocze, to na moje i dodała: No wiesz, chodzi o te miejsce TAM.

Tam. Tam, kurwa, jakby to był „Hobbit, czyli TAM i z powrotem”, a nie rozmowa o seksie.

Wtedy nie miałem – nomen omen – jaj, by jej wykrzyknąć wszystkich kłopotliwych, nieczystych słów. Że nie dorośli ludzie nie mówią TAM, tylko – penis, chuj, kutas, bydlak, Pan Wacław, predator dziewictwa, pogromca cnoty, czochracz bobra, śliski skurwiel – jakkolwiek, tylko nie TAM.

Wtedy zjarałem się rumieńcem i spierdoliłem. A teraz widok beżowo-błękitnych paszków sprawił, że obleśny uśmiech mojej matki, zatopionej już w marzeniach o wnukach, znów stanął mi przed oczami jak żywy.

Tyrada ześlizgnęła mi się z języka w głąb żołądka, zostawiając gorzki ślad. Spasowałem.

– Luška, chyba cię popierdoliło do reszty! – Władza intelektualna wróciła mi dopiero wtedy, gdy Luška zaprowadziła mnie na miejsce. Nie wierzyłem. Pracowałem na uczelni, więc uważałem się za znawcę absurdu i konesera głupoty, ale to, co ujrzałem w ten brudny, listopadowy dzień, zdeklasowało nawet szukanie profesora Wilczka, któremu znów się zasnęło w kiblu nad dwójeczką.

Luśka zabrała mnie na jarmark.

Jarmark patriotyczny z okazji 11 listopada.

Wyobraźcie to sobie. Jeden rząd – stragany z patriotycznym pierdołem. Flagi polskie, kup 3, zgarnij 4 gratis. Zaraz obok puszkę piwa, regionalne, białe i czerwone. Obok nich stoisko antyaborcyjne, czerwień abortowanych dzieci porównywana do czerwieni najnowszych szminek Avonu. Za przyczółkiem ratowania dzieci – przyczółek modlitwy, najmodniejsze różańce, domowe ołtarzyki, Matka Boska naturalnych rozmiarów do domu i ogrodu. Zaraz za mateczką – stoisko z jedyną słuszną muzyką, Zenek Martyniuk rypie, aż miło, a „Wlepię ci mandacik za przekroczenie piękności” rozbrzmiewa na równi z antyaborcyjnym agitowaniem. I jeszcze dalej, i jeszcze więcej, absurd, biel i czerwień, szaliki kiboli i płody, aż łeb sam zaczyna się napierdalać ze sobą.

A na boisku – ćwiczenia. Na jednej bieżni kolesie w glanach i spodniach moro biegali w sposób, który osobiście przypominał gania nie imigrantów na ulicach. Przez płotki – trening, koleś z megafonem coś wrzeszczy o tym, jak łąpać ciapatę. Dalej grupy rekonstrukcyjne, wojowie słowiańscy, husarze i żołnierze II wojny światowej, połączeni jednym boiskiem.

I gdzieś w tym wszystkim – targ staroci.

To tam daliśmy od razu dyla.

Kiedyś miałem tak, że uspokajał mnie urok rzeczy dawnych. Wciągały mnie stare zdjęcia, te z ludźmi, których twarze istniały już tylko na pożółkłym papierze, bo ciało strawiło robactwo przed dziesiątkami lat. Rozczulały mnie misterne wzory na porcelanie i precyzyjne rzeźbienia na łyżeczkach czy widelcach.

Ale dzisiaj nie brało mnie nic.

Mijałem kolejne stragany, za którymi siedzieli mniej lub bardziej wąsaci kolesie. Na niebo naciągnęły szare chmury, listopad zrobił się jeszcze bardziej brudny, a świat dookoła nabrał odcienia mokrego asfaltu. Ślizgałem wzrokiem po tych wszystkich cudach. Po starej biżuterii, tak różnej od tego, co dzisiaj domagało się piątnego haraczu w Aparcie. Po starych fotografiach i zamierzczłych uśmiechach. Po cynowych dzbankach, martwych naturach i romantycznych pejzażach.

Aż wreszcie zatrzymałem się.

A raczej – zatrzymał mnie dreszcz.

Mój wzrok padł na lustro.

Pierwsza myśl: jakie ładne. Poślacane, z ciemnymi przetarciami, okrągłe. Wokół nóżki – złote figurki, pan i pani ganiają się rozkosznie, a nóżka lusterka ustylizowana jest na pień. Oczy ma wyobraźni już widać ten duszny park, złoto zamienia się w rumieńce na pudrowanych twarzach, peruki nabierają jasności, a suknie i surduty pastelowych odcieni.

Ale potem spojrzałem w lusterko.

I zadrzałem.

Najpierw dojrzałem tam siebie. Moja twarz, szara, brudna, pospolita. Zapuchnięte oczy, fioletowe cienie, za mały nos, za wąskie usta i te cholerne włosy, które kręciły się nawet wtedy, kiedy je ciąłem na krótko. I chmury. Ciemne chmury, ciężkie chmury, bure chmury.

To jednak widziałem tylko przez chwilę.

Bo nagle cienie zniknęły spod moich oczów. Nagle nos mi się wydłużył i nabrał niepokojącego garba. Nagle krótkie włosy wywinęły się czarną falą, a potem już został mi tylko krzyk, bo to nie moja twarz uśmiechała się do mnie w lusterku.

W lusterku uśmiechał się Kostian Kosiarz.

Cholerny Kostian Kosiarz, blady, z krzywym nosem, w czarnej skórzanej kurtce.

I nagle ta czern jak zaraza rozlała się po świecie dookoła nas. Nagle wszystko dookoła mnie stało się czarne, zniknęły jebane stragany, przekłęci kibole i nawet już Zenek z Mandacikiem za piękność nie rypał.

Została tylko czern.

I Kostian Kosiarz.

– Czemu mi uciekasz, Dareczku? – mruknął głębokim głosem, a ja dostrzegłem, że jego usta mają kolor krwi.

– Zostaw mnie – wyszeptałem, czując, jak dreszcz zaciska mi gardło.

– To nie będzie bolało, Dareczku – usta w kolorze krwi uśmiechnęły się. – Weźmiesz tylko to, co ja ci chcę dać. Zrobisz to, co ja zechcę.

– Kostian, przestań! – próbowałem się cofnąć, ale w tym świecie przestrzeń nie istniała, bo twarz Kostiana nadal była przede mną, w tej samej odległości.

– Pamiętasz, co zrobiłem z sercem Baśki Borot? – Kostian wysunął ku mnie rękę. – Ty też masz serce, Dareczku.

I nagle jego dłoń przekroczyła granice lustra. Nagle zimny palec Kostiana Kosiarza dotknął mnie, a ja na własnej skórze, pomimo bluzy, pomimo kurtki, poczułem, jak ostry pazur rysuje mi serce. I dalej, jak wdziera się we mnie, jak zostawia zimny ślad w środku, jak rwie mnie i szarpie, przedziera się przez ludzkie ciało i ludzki brud.

– Jesteś mój, Dareczku – wyszeptał Kostian. – I żadna Twoja ucieczka tego nie zmieni.

A ja poczułem, że się gubię. Że jestem sobą i nie sobą, że jestem nagi i nie nagi, że w czarnych oczach Kostiana odbijają się galaktyki całe, a ja patrzę, i tonę, i uciec nie mogę, i krzyczeć nie mogę.

Ale kto inny mógł krzyknąć.

Wrzask dobiegł mnie nagle potężny, a potem coś łupnęło, coś gruchnęło i zniknęła ciemność, zniknął Kostian, szary, brudny listopad wrócił do swojej listopadowej formy.

Nie było już lusterka. Złote ramy i odłamki zwierciadła leżały rozprysnięte na starych kartkach, na zabytkowych talerzach, na brudnym asfalcie. A obok mnie stała Luśka. Luśka dzierżąca figurę Matki Boskiej naturalnych rozmiarów.

– Luśka, co ty... – wyjęczałem, patrząc to na nią, to na zaistniały burdel.

– Rozjebałam to lusterko figurą Matki Boski naturalnych rozmiarów – sapnęła Luśka dziarsko. – Czego nie rozumiesz, Dareczku?

Tak, potem rozpętała się chryja. Jeden wąsaty koleś wrzeszczał coś o rozwalonym lustrze, drugi wąsaty koleś krzyczał coś o zbeszczeszczeniu Matki Boskiej naturalnych rozmiarów. Ale Luśka ich usadzała. Luśka zostawiała swój numer telefonu, wsadzała im hajs w łapy, odwrzaskiwała, by się odpierdolili. Ja stałem jak pijany.

I jak pijany dałem się zaprowadzić do domu.

A kiedy już wróciliśmy do mojej sypialni, kiedy klapnąłem na łóżku, gdzie nadal leżały moje rozrzucone rzeczy, Luśka pochyliła się nade mną z troską.

– Co ty widziałeś w tym lustrze? – zapytała, a ja popatrzyłem na nią martwo.

– Nie co, a kogo. Luśka, ja jestem przeklęty.

GRAŻYNA GARBAREK

Dzień, który zmienił wszystko — opowieść Johnego

Życie potrafi zmienić się w jednej chwili — jakby ktoś przewrócił stronę książki, której nie zdążyłeś jeszcze przeczytać do końca. Dla mnie ta strona przewróciła się, gdy opuściliśmy dom w Stanach. Rodzice zdecydowali za mnie... Jestem szczupłym 12 latkiem, o piwnych oczach. Mam gęste jasne włosy, które sięgają ramion. Lubię ubierać się w duże t—shirty i szerokie spodnie. Pochłaniają mnie bez reszty książki i wszystko co związane z matematyką i biologią. W Stanach miałem wszystko: dom, przyjaciół i klub sportowy. Wyjeżdżając zostawiłem tam całego siebie... babcię, dziadka, Jennifer — moją najlepszą przyjaciółkę, z którą dzieliłem sekrety, śmiech i ciszę. Byliśmy nierozłączni.

Nowe miejsce — Poznań. Wysokie bloki, tramwaje, język, który znałem, ale który brzmiał tu inaczej. Szkoła była jak z katalogu: nowoczesna, kolorowa, pełna światła. Ale światło nie zawsze oznacza ciepło. Dzieci były jak szyby — gładkie, przezroczyste. Patrzyły na mnie, ale mnie nie widziały. Nie potrafiłem się przed nimi otworzyć, a i też one były obojętne, niemile.

Rodzice? Znikali w pracy, jakby chcieli udowodnić światu, że potrafią. A ja? Ja próbowałem nie zniknąć.

Wieczory były jednymi z tych trudniejszych chwil. Cisza w mieszkaniu na dziesiątym piętrze była głośniejsza niż hałas dnia. Czasem siadałem przy biurku, patrzyłem przez okno i wyobrażałem sobie, że Jennifer siedzi obok. Że śmiejemy się z czegoś głupiego. Że jestem znów tam, gdzie wszystko miało sens.

I tak często wyglądały moje dni od przeprowadzki, aż do dziś, kiedy wszystko się zmieniło.

Otworzyłem balkon, żeby wpuścić trochę powietrza. I wtedy to się stało. Coś wpadło do środka. Trochę przestraszony obserwowałem chwilę to „coś” co wpadło. Nie widziałem nigdy wcześniej czegoś podobnego. Ostrożnie sięgnąłem po telefon — chciałem zadzwonić do rodziców. Serce biło mi jak szalone ale ciekawość była silniejsza. Nie zadzwoniłem w końcu do nikogo. Stałem i patrzyłem i nie mogłem uwierzyć w to co

widzę. Po podłodze zaczął się rozglądać maleńki, fioletowy, bardzo puchaty „ktoś”. Wydawał dźwięki jak szczeniak albo kocię. Nagle popatrzył dużymi oczami na mnie. To były piękne, ogromne i dobre zielone oczy. Kiedy nasze spojrzenia tak trwały, zadzwonił telefon. Aż podkoczyłem! „Ktoś” zwinął się w kulkę i przypominał teraz zwykłą fioletową, puchatą piłeczkę. Nie odebrałem tego telefonu. Patrzyłem na przybysza. Kiedy telefon ucichł mój niespodziewany gość rozwinął się i stanął na dwóch nóżkach. Dopiero teraz mogłem go zobaczyć w całej okazałości. „Ktoś” miał dużą głowę, szeroką szyję, dwie ręce, gruby brzusek i dwie nogi. Nie miał uszu i nosa ale miał piękny szeroki uśmiech. Miał tylko trzy palce u rąk i nóg. Przybysz okazał się bardzo miłym i spokojnym osobnikiem. Słuchał uważnie kiedy się przedstawiłem. Usiadłem na podłodze i starałem się nazywać rzeczy i pytać przybysza skąd jest i jak ma na imię. Spędziłem z „ktośm” cały dzień.

Patrzyliśmy na siebie długo. Ja – z sercem bijącym jak bęben. On – spokojny, jakby znał mnie od zawsze.

Nie zadzwoniłem do nikogo. Nie uciekłem. Siedziałem na podłodze i patrzyłem, próbując się komunikować najlepiej jak potrafię.

Nazwałem go Dwayne. Nie wiem dlaczego. Po prostu pasowało.

Dwayne był jak sen, który nie znika po przebudzeniu. Mówił bez słów. Rozumiał bez tłumaczenia. Spędziliśmy razem cały dzień. A potem – noc. Ukryty w szufladzie pod łóżkiem, wyszedł, gdy wszyscy spali. Rozmawialiśmy gestami, dźwiękami, spojrzeniami. I choć nie znałem jego języka, czułem, że mnie rozumie.

Rano poszedłem do szkoły. Z Dwaynem w plecaku. I choć nikt o tym nie wiedział, nie byłem już sam.

Dwayne nie był tylko przybyszem z innego świata. Był lustrem – odbiciem mojej samotności, mojej potrzeby bliskości, mojego dzieciństwa, które nie chciało zgasnąć. Dzięki niemu zrozumiałem, że nawet w obcym mieście, można znaleźć coś – lub kogoś – kto sprawi, że znów poczujesz się jak u siebie.

Od tamtego dnia mój świat zmienił się niepostrzeżenie. Nie zniknęła samotność, ale przestała być pusta. Dwayne był jak tajemnica, którą można było dzielić sercem. Każdego wieczoru, gdy miasto zasypiało, a światło latarni rysowało cienie na ścianach, wysuwałem szufladę spod łóżka i szeptałem:

– Jesteś?

Zawsze był.

Dwayne uczył się szybko. Znał już słowo „woda”, „piłka”, „przyjaciel”. Gdy mówiłem „Jennifer”, Dwayne kładł łapkę na moim ramieniu i patrzył tymi swoimi wielkimi oczami, jakby mówił: „Rozumiem”.

Ale sielanka miała niebawem się zakończyć.

Był piątek. Szkoła jak zwykle — zbyt głośna w hałasie, zbyt cicha w znaczeniu. Wróciłem do domu i zastałem Dwayne'a siedzącego przy oknie. Patrzył w niebo. Nagle uniósł łapkę i wskazał coś w oddali.

Na niebie pojawił się błysk. Nie samolot. Nie gwiazda. Coś... znajomego. Coś, co Dwayne rozpoznał.

— Chcesz wrócić? — zapytałem, choć nie byłem pewien, czy chce znać odpowiedź.

Dwayne nie odpowiedział. Ale jego oczy były inne. Jakby pełne tęsknoty.

W kolejnych dniach Dwayne zaczął rysować. Palcem na zaporowanej szybie, kredkami na kartkach. Linie, spirale, znaki. Zrozumiałem, że Dwayne nie wpadł tu przypadkiem. On... uciekł. Albo został wystany.

— To mapa? — zapytałem.

Dwayne kiwnął głową. A potem wskazał na moje serce.

— Ja? — zdziwiłem się. — Ja mam ci pomóc?

Dwayne uśmiechnął się szeroko. I wtedy zrozumiałem, że to naprawdę nie był przypadek. To było przeznaczenie.

W poniedziałek, kiedy rodzice znów zniknęli w pracy, spakowałem plecak. Włożyłem do środka mapę, latarkę, kanapkę z masłem orzechowym i... Dwayne'a. Ruszyliśmy. Najpierw tramwajem. Potem pieszo. Aż dotarliśmy do starego parku, który znałem tylko z opowieści.

Tam, wśród drzew, znaleźliśmy coś, co wyglądało jak opuszczona altana. Ale Dwayne wiedział lepiej. Dotknął jednej z desek i... świat się zmienił.

Ziemia zadrżała. Powietrze zgęstniało. A przed nami pojawił się portal — nie wyglądał groźnie, lecz zapraszająco. Jak ciekawe drzwi do innego wymiaru.

Dwayne spojrzał na mnie. I wtedy zrozumiałem, że to nie było tylko zaproszenie do podróży z Dwaynem. To była też moja podróż — do odwagi, do przyjaźni, do siebie.

Spojrzałem w głąb portalu, a potem na Dwayne'a. W jego oczach nie było strachu — tylko spokój. Uśmiechnął się lekko i skinął głową. Dwayne wszedł pierwszy. Ja — tuż za nim.

Nie było huków, nie było błysku. Tylko ciepło. Jak wtedy, gdy ktoś bliski ściska ci dłoń i mówi: „Jestem tu”.

Kiedy wróciłem — po około godzinie — byłem inny, czułem się inaczej. Nie starszy. Nie silniejszy. Ale... pełniejszy. Jakbym odnalazł brakujący fragment siebie.

Od tamtej pory patrzę inaczej na ludzi. Wierz mi, jest wiele osób czekających na swojego Dwayne'a. Może wystarczy uśmiech, jedno słowo, by otworzyć drzwi do czyjegoś świata.

Bo przyjaźń nie zna granic. Nie pyta o język, kraj, wygląd. Ona po prostu się zdarza — wtedy, gdy jesteśmy gotowi otworzyć nasze serce.

Czasami to, co najbardziej nieoczekiwane, staje się kluczem do zrozumienia siebie. Prawdziwa przyjaźń przychodzi czasami cicho, bez zapowiedzi. Potrafi zmienić nie tylko dzień, ale całe życie, odsłania ukryte ścieżki do wnętrza siebie – nieznane, choć od zawsze obecne.

Bo nie zawsze trzeba wiedzieć, skąd ktoś przybył, ani dlaczego właśnie teraz. Czasem wystarczy poczuć, że przyszedł – i że jego obecność ma sens, który przekracza potrzebę wyjaśnienia.

Koniec.

W imieniu Auterek dziękuję za Twój czas i uwagę.

Będzie nam bardzo miło, jeśli podzielisz się informacją o Pisalniku ze swoimi bliskimi i na social mediach.

